

MARCHAND

MAGAZYN SZTUKA I MIASTO

BIAŁYSTOK 1(3)/2020



Sztuka jest przygodą. Grzegorz Radzewicz

Po co jest sztuka? Maria Potocka

Staram się propsować dobro. Diana Nachiło

Z historii białostockiej bohemy. Andrzej Lechowski



ul. Kilińskiego 12,
15-089 Białystok

DLACZEGO WARTO WSPIERAĆ NIEZALEŻNĄ GALERIĘ SZTUKI „MARCHAND”?

Nasze działania kierujemy głównie do miłośników i sympatyków sztuki. Będziemy również wspierać artystów, dając im możliwość budowania więzi społecznych i aktywnego uczestnictwa w tworzeniu kulturalnego wizerunku miasta, w którym żyją. Odmienność Galerii MARCHAND od innych sal wystawowych polega na tym, że tu artyści czują się gospodarzami a nie petentami instytucji kulturalnych, co jest pozytywnym i zasługującym na wsparcie procesem kształtowania się i rozwoju tego środowiska.

Galerię tworzą i finansują sami artyści z małym wsparciem władz Miasta Białegostoku, bez żadnych innych dotacji zewnętrznych. Pozwala to na prowadzenie w pełni niezależnej polityki artystycznej i wydawniczej.

Magazyn MARCHAND, dedykowany lokalnemu rynkowi sztuki, prezentuje historyczną i aktualną twórczość białostockich i regionalnych artystów plastyków. Służy on też edukacji młodzieży w zakresie sztuk wizualnych oraz ich aktywizacji do twórczości własnej. Jest swoistym tworzywem spajającym lokalną społeczność. Galeria MARCHAND wsparta Kwartalnikiem włącza młodzież jak i dorosłych białostoczan do tworzenia artystycznego wizerunku miasta i budowaniu świadomości estetycznej mieszkańców. Dzięki posiadanemu zapleczu artystów oraz ekspertów z dziedziny sztuki będzie patronować i wspierać inicjatywy związane ze sztukami plastycznymi i pokrewnymi.

Dlatego tak ważna jest Wasza pomoc.

MOŻESZ WESPRZEĆ NAS DAROWIZNĄ.

Deklarowane wpłaty miesięczne.

10 ZŁ Bardzo Ci dziękuję za wsparcie projektu. Wspólnie będziemy go realizować i rozwijać nasze zainteresowania i pasje. Za 10 zł otrzymasz dostęp do zamkniętej grupy na Facebooku.

Co pojawi się w grupie:

- * ekskluzywne materiały powstałe w trakcie wystaw i spotkań z artystami.
 - * nagrania wywiadów zamieszczanych w Magazynie MARCHAND
 - * unikalne zdjęcia związane z twórczością artystów związanych z Galerią Marchand
- Będzie to również platforma do otwartych dyskusji i kontaktów.

25 ZŁ Twoje wsparcie jest dla nas bardzo ważne. Dzięki niezależności, którą gwarantujemy, wspólnie zagłębimy się w sferę wolnej sztuki i wszystkich jej aspektów. Szczególną uwagę poświęcimy sztuce i artystom Podlasia. Lista patronów drukowana będzie na naszej stronie i w Magazynie MARCHAND. Oczywiście ten próg daje Ci dostęp do przywilejów z poprzedniego progu.

50 ZŁ Ta kwota zasili budżet naszej Galerii. Znaczącą część przeznaczymy na wydawanie Magazynu MARCHAND. Patron, w ramach wdzięczności za wsparcie, otrzyma drogą mailową każdy nr Magazynu MARCHAND w chwili jego wydania. Oczywiście ten próg daje Ci dostęp do przywilejów z poprzednich progów (10 zł; 25 zł).

100 ZŁ Dziękujemy za Twoją hojność. Otrzymasz tytuł MECENASA SZTUKI oraz dyplom z podpisami artystów. Jeśli tylko zechcesz Twoje nazwisko znajdzie się na honorowej liście mecenasów naszej Galerii. Oczywiście ten próg daje Ci dostęp do przywilejów z poprzednich progów (10 zł; 25 zł; 50 zł).

200 ZŁ Jesteś naszym strategicznym patronem! Otrzymasz tytuł HONOROWEGO MECENASA oraz pamiątkowy upominek od artystów Galerii. Oczywiście ten próg daje Ci dostęp do przywilejów z poprzednich progów (10 zł; 25 zł; 50 zł, 100 zł).

WPŁATY PROSIMY KIEROWAĆ:

Inicjatywa Plac NZS, ul. J. Kilińskiego 12/3, 15-089 Białystok

Nr konta do wpłat: BOŚ Bank: PL 64154012162054000019280001

Regulamin oraz więcej informacji na naszej stronie:

www.galeriamarchand.pl; e-mail: marchand@marchand.pl

MARCHAND
Niezależna Galeria Sztuki w Białymstoku



SZTUKA OTWARTA

Sytuacja nadzwyczajna, która ostatnio dotknęła niemal wszystkie dziedziny życia, wpłynęła też zasadniczo na działalność kulturalną, przenosząc ją do internetu. Z tego też powodu oddajemy Państwu kolejny numer „Marchanda” z ponad dwumiesięcznym opóźnieniem. Mamy nadzieję, że jego zawartość nie straciła na aktualności, a w przypadku prezentacji odbytych wystaw będzie zapewne pretekstem powrotu wyobraźni do czasów otwartej sztuki i swobodnych kontaktów w obszarze odbiorca-artysta. Ta anormalna sytuacja i ograniczenia, których jest nam dane doświadczać, kontakt jedynie „on-line”, pobudza do refleksji nad rolą sztuki i obcowania z nią w naszym życiu, jej znaczenia w jego jakości i ważności dla kondycji psychicznej. Pomimo wielu zakazów i nakazów regulujących obecnie każdy dzień, pozostaje nam liczyć, że nie wpłynie to destrukcyjnie na sztukę i artystów. Możliwe, że dla wielu z nich jest to czas wzmożonej pracy i twórczych uniesień, a efekty tych wysiłków poznamy już wkrótce.

Zwykliśmy myśleć o sztuce jako produkcie końcowym przeobrażenia rzeczywistości materialnej i emocjonalnej przez twórcę. Czasami sam artysta znika z naszego pola widzenia, ale to on i jego wrażliwość, emocjonalność, dociekliwość pozwala zobaczyć kształty osadzone głęboko w naszej wyobraźni i podświadomości. Dzięki niemu uświadamiamy często, że niebo nie jest tak naprawdę niebieskie, a trawa zielona. Świat mieni się tysiącami barw i odcieni, a ludzie są wymownie zastygli w swoich niby zwyczajnych, a jednak przykuwających wzrok pozach. Dzieła artystów pobudzają, prowokują, otwierają przed nami nowe przestrzenie poznania. W trudnych momentach pozwalają zachować równowagę i dają energię.

Oczekując na powrót do normalności, w którym to sztuka i artyści odgrywają dla

wielu z nas niebagatelną rolę, polecamy lekturę naszego czasopisma.

Rozpoczynamy wywiadem z Grzegorzem Radzewiczem, konstruktorem myśli i emocji, oraz jego opowieścią na płótnie, gdzie przeszłość miesza się z przyszłością i teraźniejszością. O sztuce, która może być przygodą i podróżą odkrywającą nowe lądy.

Młoda krytyk sztuki Kamila Mistrz przekonuje, że „Sztuka może nie jest nam potrzebna do przetrwania, ale fajnie ją mieć przy boku, żeby nadawała przetrwaniu wartość”, i że przyjscie na wernisaż w wersji casual nie jest żadnym faux pas.

Sens sztuki i zmieniająca się na przestrzeni wieków jej funkcja społeczna są tematem rozważań Pani Marii Anny Potockiej. Czy ważniejszy jest talent manualny artysty czy jego intrygująca osobowość?

Powiedzieć o nim, że to człowiek wielu talentów to zdecydowanie za mało. Rapuje, komponuje, maluje, uczy, pisze wiersze i teksty piosenek, pomaga potrzebującym. Michał „Cira” Ciruk otwiera swoje wnętrza przed Dianą Nachiło.

Jakie obroty osiąga rynek sztuki? Czy można go porównać do biznesu? Takie dane przeanalizował i zestawił Marcin Rębacz. Przykładem osób, którzy inwestują w obrazy są Państwo Gąsowscy – kolekcjonerzy sztuki z Białegostoku o swojej pasji opowiadają w rozmowie z Dianą Nachiło.

W części historycznej o białostockich wydarzeniach towarzysko-kulturalnych w okresie dwudziestolecia międzywojennego pisze Andrzej Lechowski. Historię podlaskich zabytków przybliży Joanna Tomalska-Więcek. W podróż po przedwojennych fabrykach Białegostoku zabiera nas młoda artystka Elżbieta Gibulska w swoich grafikach „Białystok Fabryczny”.



Janusz Żabiuk

MARCHAND

1 Janusz Żabiuk
SZTUKA OTWARTA
2 Grzegorz Radzewicz
SZTUKA JEST PRZYGODĄ
Rozmawiał Janusz Żabiuk

6 Kamila Mistrz
SZTUKA (NIE)DOSTĘPNA
czyli o granicach,
których nie ma

8 Maria Anna Potocka
PO CO JEST SZTUKA?

11 Krzysztof Chyży
MIEJSCE CZŁOWIEKA
A TERYTORIUM ARTYSTY

13 Tomasz Wiśniewski
SZUKAJCIE JACKA

14 Krzysztof Koniczek
Wystawa RELACJE
SUBTRAKTYWNE

16 Krzysztof Koniczek
Wystawa PTAKI MÓWIĄ

18 Diana Nachiło
STARAM SIĘ PROPSOWAĆ
DOBRO

21 Joanna Tomalska-Więcek
PAŁAC CZAPSKICH
W DOBRZYNIEMIE

23 Andrzej Lechowski
Z HISTORII BIAŁOSTOCKIEJ
BOHEMY

25 Elżbieta Gibulska
BIAŁYSTOK FABRYCZNY

29 Marcin Rębacz
PODLASKI DOM AUKCYJNY
W DZIAŁANIU

31 Marcin Rębacz
POLSKI RYNEK SZTUKI
EKSPLODOWAŁ

32 Barbara i Janusz Gąsowscy
SZTUKA, KIEDY CHCE SIĘ
OBRAZ KUPIĆ
rozmawia Diana Nachiło

37 Sebastian Kochaniec
KRADZIEŻE
I ZNISZCZENIA

39 Sebastian Kochaniec
DLA MNIE SIĘ PODOBA

41 Artur Chaciej
GRUPA TWÓRCZA
BOHEMIA
wystawa WIĘŻ

Wydawca:

Współwydawca:



PODLASKIE
STOWARZYSZENIE
PROMOCJI
SZTUKI

Redaktor naczelny: Janusz Żabiuk

Zespół redakcyjny: Grzegorz Radzewicz, Krzysztof Koniczek, Sebastian Kochaniec, Marcin Rębacz, Joanna Więcek-Tomalska, Diana Nachiło, Kamila Mistrz, Anna Kopeć, Elżbieta Gibulska, Karolina Dadura, Andrzej Lechowski, Artur Chaciej

Okładka: Grzegorz Radzewicz Marzenie

Opracowanie graficzne, skład, druk: APOGEA Mariola Łotysz

Białystok 2020

Redakcja: Marchand, ul. J. Kilińskiego 12/3; 15-089 Białystok

Kontakt: marchand@placnzs.bialystok.pl; marchand@marchand.pl

Zadanie dofinansowane
ze środków
z budżetu Miasta Białegostoku





SZTUKA JEST PRZYGODĄ

Z Grzegorzem
Radzewiczem
rozmawiał
Janusz
Żabiuk

Dlaczego malujesz?

Maluję, bo nie widzę niczego ciekawego co mógłbym robić w życiu poza malowaniem. Głównie dlatego. Nic innego w życiu nie zainteresowało mnie na tyle, żeby się tym zająć. Malowanie jest najciekawsze.

Kiedy zrozumiałeś, że malowanie jest tym co chcesz robić?

Nie było takiego jednego momentu. To się stało niepostrzeżenie, malarstwo wdarmo się w moje życie podstępnie i zaskakująco.

Czułeś w sobie gen artysty od początku?

Zainteresowanie sztuką było już w momencie kiedy postanowiłem iść do Liceum Plastycznego w Supraślu. Nie wiedziałem z czym to będzie się wiązało, myślałem, że dominujący będzie aspekt praktyczny i formy użytkowe.

Od kiedy poczułeś się artystą a o sobie zacząłeś myśleć jako o artyście?

Nie było takiego momentu. Cały czas szukałem pomysłu na swoje życie, raczej skupiając się na rzeczach praktycznych, malarstwo czy sztuka było dla mnie fascynujące ale nie myślałem o tym w kategoriach zawodu. Zawód kojarzył mi się z czymś konkretnym, np. snycerstwo, potem, jak zdawałem na grafikę do Wrocławia, to myślałem o grafice jako projektowaniu graficznym. Pierwszym momentem była decyzja





o specjalizacji, kiedy zdecydowałem się wybrać grafikę artystyczną jako ścieżkę do dyplomu. To była ważna decyzja, łącząca mnie z działaniami artystycznymi, ale była to trochę niewiadoma. Bardzo dużo malowałem, ale więcej rysowałem i robiłem grafik. Malarstwo rozwinęło się wtedy gdy skończyłem studia. Trudno jest robić grafiki w domu potrzebne całe zaplecze, prasy więc malowałem obrazy sporo czasu. Zostałem poniekąd przymuszony przez technologię. Tak naprawdę rozumiałem, że nie najważniejsze jest medium, ale pomysł na to co robię. Czy to jest grafika do której jakiś czas temu wróciłem, czy malarstwo, rzeźba, happening, którym też się ostatnio posługuję, czy inne działania. Wszystko jest narzędziem żeby pokazać jakieś swoje pomysły, przemyślenia historie, które gdzieś w głowie się urodziły.

W Twoim malarstwie odnajduję trochę technologii, konkretów i to wszystko połączone jest emocjami z obserwacji świata. Emocje przenikają się z technologią.

Zawsze miałem zmysł praktyczny, snycerstwo w Supraślu bardzo mi się podobało, Praca w drewnie projektowanie przedmiotów, mebli potem ich wykonanie. Projektowanie wymyślanie zawsze było mi bliskie. Rysowałem różne urządzenia, konstrukcje, podobało mi się szukanie rozwiązań niekoniecznie z ich praktycznym wykorzystaniem. Zabawa w wymyślanie czegoś. Taka praktyczność funkcjonuje w moich obrazach, ponieważ myślę o nich jako o pewnych konstrukcjach. Konstruuje to, co gdzieś mi się w głowie rodzi. Próbuje świat, który widzę rozłożyć na czynniki pierwsze, ponazywać niektóre rzeczy pookreślać, oznaczyć, żeby stały się dla

mnie bardziej zrozumiałe, żeby je oswoić i żeby dobrze się w tym wszystkim czuć.

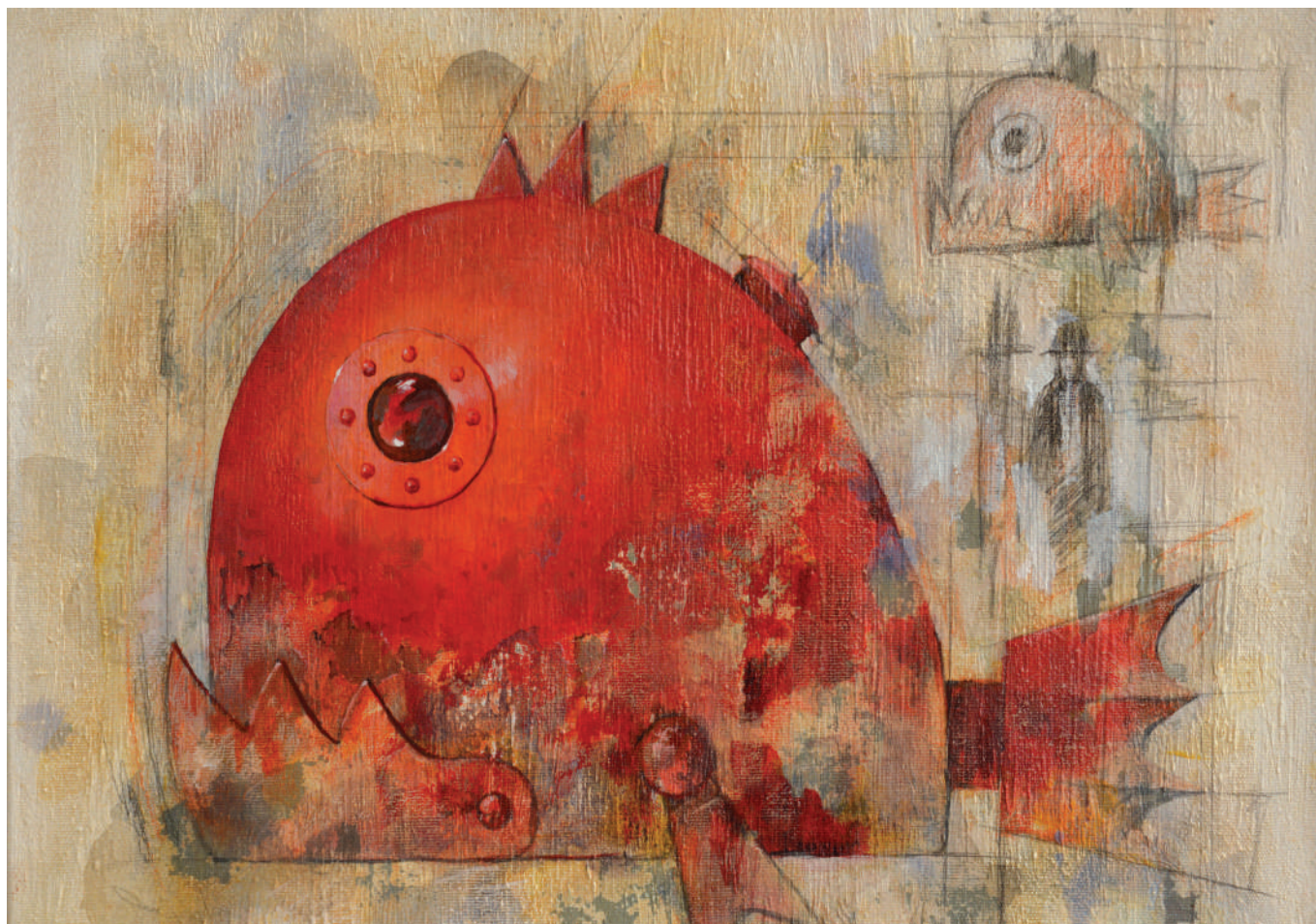
Oswajanie przez Ciebie sztuki odbywa się na różnych polach. Szukasz różnych form wyrazu, różnych aktywności artystycznych. Płótna jest Ci za mało.

To wszystko dlatego, że się tym wszystkim w pewien sposób bawię, szukam swoich przestrzeni, w których mógłbym moje pomysły przetworzyć na obrazy. Czy to będzie obraz namalowany na płótnie, czy to będzie obraz, który funkcjonuje jako happening, nagranie, performans. Czy też połączenie paru form w jedną. Cały czas te formy wyrazu się uzupełniają zmieniają. Malarstwo jest podstawową ponieważ obraz powstaje najszybciej. Happening gdzie się rodzą różne rzeczy powstaje najdłużej, trzeba wielu czynników żeby to zadziało. Obraz to jestem ja, pracownia, pomysł.

Ale chcesz i lubisz wyjść z pracowni i tworzyć z ludźmi, którzy są uczestnikami.

Ogólnie to sztuka jest dla mnie przygodą życiową, odkrywaniem nieznanych lądów. Odkrywam je na różnych płaszczyznach i cały czas gdzieś swój statek posyłam. Czasami są to rzeczy, które można porównać do rafy, ale zdarzają się fascynujące momenty, gdzie jest fajna energia, to są między innymi działania z ludźmi, emocjonujące i energetyczne. Odbiorca wchodzi w to dzieło bardzo mocno i nakręca też mnie. Są pomysły różnych działań w mojej głowie w przestrzeni miejskiej, galeryjne przy udziale żywej publiczności.

Określasz siebie jako konstruktora. Jaki był początek i co jest budulcem Twoich konstrukcji.



Oglądałem wielokrotnie mojego ojca przy pracy. Był kowalem, złotą rączką. Siadywałem w warsztacie, gdzie miał swoje królestwo. Tam nikomu niepotrzebne przedmioty, zbierane całe życie „przydasię”, kawałki metalu, śruby, łożyska, ośki, oringi czy po prostu zardzewiałe druty zaczynały całkiem nowy żywot. Często przypominam tamte chwile, ale pamięć, jak i niepamięć, ma swoje prawa. Z tej pamięci-niepamięci wydostają się obrazy. Próbuję dotknąć tych wspomnień, odczuć, emocji. Widzę je jak przez sen, ciągle się rozptylają. Czasem coś jednak zostaje i zaczyna powstawać wizja. Sam wtedy nie wiem, czy to przeszłość, teraźniejszość, czy może przyszłość? Konstruuje z tych strzępków myśli obraz. Czuję się wtedy nie jak artysta, a rzemieślnik, który z gotowych części ma złożyć całość. Jestem bardziej jak konstruktor łączący elementy pewnej układanki w nadziei, że znajdzie rozwiązanie. Że wymyślona przez niego maszyna będzie działała. I nieważne, czy będzie to ciężka i pancerna maszyna, która w swoim wnętrzu ukryje i ochroni, czy może machina latająca, która uniesie jak najdalej, a nawet zmodyfikuje człowieka, dodając ponadludzkie możliwości, dzięki którym będziemy żyli wiecznie. Czym jest przemijanie, śmierć? Nawet nie próbuję znaleźć odpowiedzi, chciałbym jedynie zadać odpowiednie pytanie.

Łączenia teraźniejszości z przeszłością poprzez sztukę podjąłeś się we wspólnym projekcie z Tomkiem Wiśniewskim szukając Jacka w Niebylcu. To było działane wykraczające poza schematy typowej twórczości malarskiej.

Opowieść naszej bohaterki wydała nam się inspirująca, ważna i warta zapamiętania. Nie mogliśmy się cofnąć w czasie żeby zrobić zdjęcia tamtych wydarzeń. Postanowiliśmy pojechać do Niebylca, poszukać miejsc, w których się działo, być może znaleźć świadków tej historii. W swoich obrazach podjąłem próbę rekonstrukcji. Próbowałem wyobrazić jak mogłoby to wyglądać. Szukaliśmy miejsc pasujących do opowieści. Stawiałem tam wtedy sztalugę i zaczynałem malować. Swoją obecnością wywoływaliśmy spore, zresztą zamierzone, zamieszanie. Ludzie do nas podchodzili i pytali co tutaj robimy. Dzieliliśmy się z nimi naszą historią jednocześnie pytając o Jacka. Każde nowe wydarzenie to nowy obraz, ale malowany na tym samym płótnie. Tomek spytał mnie czy mi nie szkoda tak zamalowywać. Oczywiście, że było mi szkoda, ale w ten sposób chciałem pokazać jak czas obchodzi się z naszymi wspomnieniami. Możemy widzieć obraz, ostatni z cyklu, ale dzięki pamięci wiem, że pod spodem są wszystkie pozostałe części tej historii. Naszym wspólnym

działaniem chcieliśmy zachować to wydarzenie. Uznaliśmy je za ważne. Mimo to że Jacka nie znaleźliśmy było warto. Było warto ponieważ historia pokazuje rzeczy dobre, postawy godne zapamiętania. Czym więcej pamiętamy rzeczy dobrych, tym sami stajemy się lepsi i jako ludzie, i jako naród.

Mam wrażenie, że poszukujesz nowych przekazów i nowych form w sztuce.

Próbuję przekraczać w tej przygodzie - jaką jest malarstwo granice - wychodzić poza to co jest znane mi. Jeśli wychodzi się poza to co jest nam znane można odkryć nowy ład. Odkrywanie nowych łądów jest niezmiernie ciekawe i to jest to co mnie nakręca. Jestem trochę takim opowiadaczem, który w głowie coś wymyśla, potem przekazuje to na płótnie lub w innym działaniu. Po namalowaniu opowieść się nie kończy, ponieważ odbiorca przez pryzmat swoich doświadczeń i emocji opowiada ją sobie na swój sposób. Ciekawe jest to co ludzie mówią widząc moje obrazy. Taka reakcja daje mi energię na następne działania.

Postrzegany jesteś jako artysta stąd, podlaski, białostocki. Czujesz się związany z naszą „małą ojczyzną”.

Białystok to był mój wybór, ponieważ na studia wyjechałem do Wrocławia, potem rok mieszkalem w Warszawie, doszedłem do

wniosku, że Białystok jest dobrym miejscem do życia. Czas tu płynie na tyle wolno, że się do mnie dostosowuje i taki był mój wybór, nie żałuję tego oczywiście. Jako odbiorca sztuki jestem zadowolony, są tu galerie, teatry, wiele wydarzeń. Jako osoba, która tworzy też, bo mogę tu tworzyć zupełnie swobodnie, natomiast rzecz, która jest inna niż w podobnej wielkości miastach, jest małe środowisko artystyczne. Z jednej strony przyczyną jest może brak uczelni artystycznej, z drugiej strony cała rzesza młodych ludzi wyjeżdża i nie wraca aby tu tworzyć. Myślę, że nie ma tu możliwości rozwoju dla nich, ponieważ to jest prawda, ponieważ w Białymstoku propozycji dla artysty jest mało.

Jesteś jedynym z artystów tworzących Gallerii Marchand. Jakie znaczenie ma to środowisko dla naszego miasta?

Jest to miejsce, gdzie artyści z Białego stoku mogą się spotkać, nawet po to aby wymienić myśli, podyskutować o sztuce, bo takich miejsc w Białymstoku nie ma zbyt wiele. To miejsce jest bezcenne, ponieważ daje szansę osobie, która tworzy, maluje. Może pokazać to co robi, spotkać się z innymi artystami i odbiorcami, zaistnieć. Takie działania powinny być wspierane przez samorząd w większym stopniu niż obecnie, ponieważ tworzą również wizerunek miasta na zewnątrz.



SZTUKA (NIE)DOSTĘPNA

czyli o granicach, których nie ma

■
Kamila
Mistarz

Proszę Państwa, oto sytuacja: Kowalski powoli, ale sukcesywnie, zbliża się do galerii sztuki! Zdarzenie to jest wyjątkowo nietypowe. Bo jak to tak można w ogóle z własnej woli chcieć poświęcić czas na patrzenie w płótna, na szukanie sensu w pociągnięciach farby, skoro nawet w życiu tak często nie da się go znaleźć? Okazuje się jednak, że można, a Kowalski w ten świąteczny dzień, który trzeba zapisać w kalendarzu, postanowił dołączyć do owego grona szczęśliwców, którzy cieszą się na widok kawałka papieru umorusanego farbą, stworzonego przez człowieka zwanego przez swych fanów Artystą.

W miarę jednak zbliżania się do drzwi galerii, przychodzi kolejny, trudny co nie miara, etap podjętej dziś decyzji - Kowalskiego zaczynają dręczyć pytania i bezcelne myśli, które nasilają się w nim z każdym kolejnym krokiem. Czy na pewno będzie w stanie odnaleźć się w tym „elitarnym” gronie miłośników sztuki, którzy wędrują po galerii prowadząc wyrafinowane konwersacje z kieliszkiem czerwonego wina w dłoni? Czy będzie potrafił coś powiedzieć? A co jeśli nic nie zauważy, więc nic nie poczuje, więc nic nie powie, więc się zbłąźni, wyleci, wszyscy go zapamiętają, może ktoś mu zrobi zdjęcie... Oooo nieeee! Na dodatek Los chciał, żeby Kowalski zobaczył samego siebie w witrynie jednego ze sklepów po drodze i automatycznie zwątpił w estetykę swojego galeryjnego ubioru (czy na pewno bez krawata tak wypada?). Ale, ale, proszę Państwa! Kowalski to mądry człowiek. On wie (a przynajmniej tak sobie mówi), że te wszystkie myśli nie mają sensu! Bierze głęboki oddech i ponownie obiera cel, ale wątpliwości wracają. Walczy z nimi, jeszcze próbuje... już by nie chciał, ale wciąż... jeszcze...

I stanął. Zatrzymał się dosłownie 3 metry od drzwi, gwałtownie i niespodziewanie, jakby głową uderzył w niewidzialny mur. Czy zawsze tam był? Czy mógł go przewidzieć? Jaki sposób znaleźli inni, żeby go obejść? Jakiś być

musi, ale Kowalski nie ma już chyba dzisiaj siły na sztukę. Czuje się niezbyt mądry. Za mało wartościowy. Za mało odpowiedni. Rusza więc znowu do przodu, udając że przechodził tylko obok, a samą galerię, jakby odpychany wielkim magnesem, omija szerokim łukiem...

Co to, jak to, gdzie to i kiedy to się stało, że sztuka stała się czymś, czego człowiek się boi?

Wieść niesie, że wszystko zaczęło się dawno, dawno temu, kiedy to wraz z postępek cywilizacji i umiejętnością dłubania człowieka w nosie, zaczęła się rozwijać również sztuka. Mało kto potrzebował od niej wtedy pociechy dla ducha, więc u ludzi pierwotnych służyła uprawianiu magii i pomagała osłabiać biegające gdzieś daleko jedzonko np. bizona namalowanego w jaskini, który jak dostał dzidą to, według założeń, biegać przestawał (wiecie, taka pierwsza wersja laleczki voodoo). Potem przyszła era pomników, które pokazywały, że Cezar to był kurczę ziom, i świątyni, mających oddawać cześć





bogom, żeby to przypadkiem się nie rozżłościł Zeus i nie rozwalił piorunami całych Aten.

Mimo, że dopiero później zaczęła gościć na królewskich dworach, a władca bez nadwornego artysty od razu był totalnie „passé!”, sztuka prawie od zawsze była czymś ekskluzywnym, wielkim i przeznaczonym tylko dla ludzi z wyższych sfer. No i tu zaczynają się nasze schody. Mimo że żyjemy w czasach, kiedy za nadrzędny cel przyjęliśmy sobie łamanie wszystkich stereotypów to ze sztuką nam jeszcze nie wyszło.

Niby ma być łatwiejsza w odbiorze, bo zredukowana do gry kolorów i prostych kształtów, a staje się czasem frustrującą zagadką nie do rozwiązania nawet dla najbardziej zaangażowanych. Niby jest dostępna, ale jednak wciąż zamknięta w sztucznie wykreowanych pałacach, przy często zbędnej otoczce ekskluzywności i dziwnego nadęcia. Niby chce przekazać więcej emocji, a staje się bezwyrazowcem, którego pustka staje się ciężka i obezwładnia bez pytania. Mąci, w głowach miesza, onieśmiela i zniechęca. A ludzie bardzo nie lubią, jak coś ich pokonuje. A już szczególnie wtedy, kiedy robi to sztuka.

Może się Państwo na mnie teraz obrażać. Może uderzę w Państwa czuły punkt, wywołam oburzenie i niesmak. Ale od zawsze, jak pojawia się w moim życiu tego rodzaju problem, śmiem twierdzić, że jego źródło leży tylko i wyłącznie w człowieku. W Pani i w Panu, we mnie i w tobie, w nas i w nich. Bo każde mniejsze czy większe piekło, które sobie zgotowaliśmy wynika z tego, że jesteśmy tylko ludźmi, którzy błędzą, błędzą strasznie, bo nie wiedzą, dokąd idą, mimo że idą już tyle tysięcy lat. I błąd jest w Państwie, bo zawsze znajdzie się dla Was jakaś wymówka, żeby nie spróbować poszukać własnej sztuki. Błąd jest w nas, ludziach ze sztuką związanych, bo nie

zawsze rozumiemy Wasze potrzeby, nie potrafimy dobrze wytłumaczyć, skutecznie zachęcić i, choć nie chcemy, sprawiamy wrażenie jakiejś innej rasy ludzi, zachowujących się w niezidentyfikowany sposób (może to ta farba coś w sobie ma). Błąd jest w krytykach i marszandach, bo wyższy rynek sztuki, który widzimy w TV, opiera się na sprzedaży idei, a nie dzieła.

Między innymi dlatego właśnie Kowalski, tak naprawdę zanim jeszcze udało mu się podjąć stosowną walkę i próbę przetrwania w straszliwym świecie ludzi wszyskokoczących i nadwrażliwych, spuścił tylko pokornie głowę i ruszył w drogę powrotną do domu.

Proszę Państwa, chcę tylko na koniec zaznaczyć, że przed ŻADNĄ galerią nie ma kamiennych murów, kolczastych drutów, rowów na 10 metrów głębokich, psów tropiących ani też skanerów wyglądu czy testów wiedzy. Warto o tym pamiętać, podczas poszukiwań swojej ostoji w codziennych trudach. Sztuka może nie jest nam potrzebna do przetrwania, ale fajnie jest ją mieć przy boku, żeby nadawała przetrwaniu wartości. Tak więc żeby uniknąć kolejnych Kowalskich, przedstawię Państwu parę zachęcających galeryjnych faktów. Na wystawę przychodzimy w swetrach, sukienkach, T-shirtach a nawet, jak dopisuje pogoda, w krótkich spodenkach (!). No dobra, pijemy w sumie wino, ale uwierzcie, wcale się od niego nie robi poważniej. Rozmawiamy o życiu i o śmierci, o dzieciach odmładzających i tych, od których można przytyć. Wspominamy dawne czasy, dzieląc się przy tym planami na przyszłość. I z każdym kolejnym spotkaniem dowiadujemy się czegoś nowego nie tyle o innych, jak o samych sobie. Bo wyrывая się na chwilę z tego całego pośpiechu, w którym jesteśmy na co dzień, dochodzimy do pięknego wniosku, że wszystkie granice, które sobie stawiamy, istnieją tylko i wyłącznie w naszych głowach.



rysunki
Karolina Dadura



PO CO JEST SZTUKA?

■
Maria Anna
Potocka

GENEZA OBECNEGO SENSU SZTUKI

Sztuka wynika z tych „nadmiarów” świadomości, które nie występują u innych stworzeń. Jesteśmy jedynym gatunkiem, który z jednej strony potrafi opisać własne istnienie, a z drugiej nie potrafi się z nim pogodzić. To fenomenalne napięcie jest genezą rozlicznych wynalazków. Do najważniejszych należą magia, religia, sztuka, ale również alkohol i narkotyki. Magia zaklina i chroni życie doczesne. Religia gwarantuje nam wieczność. Sztuka przez wieki była narzędziem tych potęg, dekorując naczynia i przedmioty, ilustrując dogmaty i uświetałając obrzędy. Bardzo szybko okazało się, że siłę propagowanej idei wzmacniały obrazy piękniejsze i bardziej wyrafinowane. Dzięki temu lepszy artysta-rzemieślnik zaczął być bardziej faworyzowany i lepiej opłacany. Minęły wieki i w końcu przyszło olśnienie; rozpoznano fenomen geniusza. Jednak nadal u artysty szukano talentu manualnego, a nie intrygującej osobowości. Przyczyn sukcesu dopatrywano się w rękach, a nie w duszy. Nazwiska artystów od tego momentu są już znane, ale nadal jest on jedynie właścicielem formy. O treści decydują polityka i religia, czasem mecenas. Ten stan połowicznego panowania nad dziełem trwa kilka wieków.

Patrząc na historię sztuki, można odnieść wrażenie, że od renesansu już wszyscy wiedzieli, że sztuka wynika z artysty, że jest jego głosem prywatnym. Jednak na ogłoszenie tej rewelacji czekano długo. Dopiero wiek XX ujawnił ten fenomen sztuki i tym samym zwolnił artystę z wszelkich zobowiązań wobec cudzej idei i tematu. Artysta stał się niezależny i odpowiedzialny jedynie wobec siebie.

PRYWATNA I SPOŁECZNA FUNKCJA SZTUKI

W sztuce dawnej obie te funkcje dość płynnie się przenikały, aczkolwiek to współistnienie – na początku doskonałe – coraz bardziej zgrzytało, aż w wieku XX rozpadło się całkowicie. Wcześniej obowiązkiem artysty było obrazowanie „cudzych spraw” i wzmacnianie ich pięknem formy oraz błyskotliwością kompozycji. Prezentowane przez sztukę idee w dużym stopniu były wspólne. Wiek XX zwolnił artystę z obsługi cudzych tematów, pozwalając mu skupić się wyłącznie na tym, co jest ważne dla niego. Poezja dokonała tego rozdziału wcześniej. Od tego momentu artysta przestał się wsłuchiwać w kwestie społeczne, chyba że – co się często zdarzało – był od nich zależny. Funkcjonowanie sztuki podzieliło się na dwa obszary:

na pierwszym sztuka służyła artyście w zrozumieniu jego problemów egzystencjalnych, na drugim dzieło przechodziło w obszar publiczny i służyło odbiorcy. Do obszaru pierwszego przypisane było pytanie: „czym jest sztuka dla swojego twórcy?“, do drugiego: „do czego sztuka służy społeczeństwu?“.

ARTYSTA

Wprawdzie artysta został zwolniony z wszelkich zobowiązań, również etycznych¹, jednak trudno mu było zapomnieć o różnych korzyściach i rozkoszach, jakich zażywał w czasach „niewoli“. Tamta zależność pozwalała mu walczyć o sławę, pieniądze i pozycję artystycznego półboga. Współczesny, „wolny“ artysta może o tym jedynie marzyć w skrytości, ponieważ nie wypada tego otwarcie pragnąć. Dawny artysta był częścią mechanizmu sztuki, ćwiczył się w jej metodach, wciskał w kręgi uznanych mistrzów i na różne sposoby oferował swoje usługi. Artysta współczesny jest potencją, możliwością czekającą na wywołanie do wystąpienia publicznego. Próby zaistnienia na własną rękę są traktowane jako ośmieszające. Od artysty oczekuje się postawy, na którą – być może chwilowo – nie pozwala mu tradycja. Nie jest łatwo być człowiekiem prywatnym, mając świadomość, że w każdej chwili można zostać wprzęgniętym w zadanie publiczne. To paradoksalne napięcie, jakie sztuce zgotował wiek XX odbija się przede wszystkim na artyście. To on najwięcej musi zmienić w swoim podejściu do twórczości, musi stać się nowoczesny w sytuacji, kiedy wokół niego ciągle krążą „starożytny“ pokusy. Trudno im nie ulec, kiedy same się narzucają, ale z kolei uleganie im najczęściej narusza jakość prywatności i, co za tym idzie, wartość twórczości. W obecnym funkcjonowaniu sztuki artysta jest najbardziej czułym i najbardziej narażonym na niesprawiedliwość punktem. Ta sytuacja w dużym stopniu wynika z labilności okresu przejściowego, kiedy artysta przestał być traktowany jako wybitnie utalentowany i wrażliwy interpretator idei wspólnych i stał się twórcą prywatnych komentarzy wobec otaczającego go świata. Ta zmiana to prawdziwa rewolucja i jak zwykle najwięcej strat ponoszą ci stojący na barykadach.

Artysta stał się ofiarą zawieszenia pomiędzy dwoma stanami świadomości; tym, który przemija i zaczyna być szkodliwy, czyli świadomością geniusza, i tym, który nadchodzi, czyli prywatnością sztuki. Tworzenie sztuki przestało

być zawodem, za uprawianie którego należy się artyście wynagrodzenie, wystawy i sława. Stało się szczególną formą konstruowania światopoglądu, polegającą na oglądaniu siebie w „tekstach obrazowych“. Ta zmiana sytuacji artysty wyprzedziła znacznie gotowość do jej przyjęcia. Ciągłe – w popularnym rozumieniu roli artysty – uważa się go za potencjalnego geniusza, którego czeka wielkość. Ten szkodliwy przesąd niszczy charakter i wpływa na fałszywe podejście do sztuki. Ciągłe miniona wiedza i przebrzmiały doświadczenia są silniejsze od mechanizmów, które – nie do końca nazwane – sterują już sztuką. Artystów nie wybiera się obecnie pod kątem ich perfekcji. Teraz liczy się przede wszystkim czujność i bezwzględność interpretacji oraz „piękna obecność znaczenia“. Ten wybór zamienia prywatny komentarz artystyczny we wspólną własność kulturową. Jednak zostają wybrani tylko niektórzy. Tysiące innych artystów – potencjalnych kandydatów do transferu „prywatnego w publiczne“ – zostaje pominiętych. W tej sytuacji jedynym wyjściem – poza zabójczą frustracją – jest znalezienie sensu twórczości w odniesieniu do samego siebie. Przyjęcie takiej postawy wymaga zapomnienia o ciągle pokutującym schemacie, że artyście cokolwiek się należy. Bycie artystą to sprawa ściśle prywatna, która – jak wiele różnych prywatnych właściwości – może być wybiórczo wykorzystywana społecznie. Przyjmując, że tak właśnie zmieniła się rola artysty, warto przyglądnąć się przypadkom prywatnej, artystycznej niewinności, czyli twórcom, którzy nie brali pod uwagę starodawnych przywilejów przynależnych wybitnemu artyście² i uprawiali sztukę wyłącznie z myślą o sobie. Ich sztuka wyraźnie pokazuje prywatną przydatność tworzenia.

To pierwsza odpowiedź na pytanie: „po co jest sztuka?“. Jest prywatnym narzędziem egzystencjalnym. Pozwala poznać siebie, oglądając z pewnego dystansu problemy, od których jest się zależnym, zapanować nad własnym istnieniem, przeistaczając je równocześnie w coś głębszego i bardziej własnego. Odkrycia takiej sztuki należałoby życzyć każdemu. Niestety, ciągle nad sztuką wisi marzenie o sukcesie i zaspokajaniu tamtej wartości.

2 Dawna sztuka miała dość precyzyjny system weryfikacji jakości artystycznej twórców. Malarz przechodząc przez mistrzowskie warsztaty i pracując przy cudzych realizacjach, był brutalnie informowany o swoich talentach. Jeżeli je posiadał i do tego dochodziła niepokromiona osobowość, stawał się geniuszem. Obecnie taka weryfikacja praktycznie nie istnieje. Zdecydowana większość studentów kończy akademie i opuszcza je, nic prawie nie wiedząc o zakresie własnych talentów czy predyspozycjach osobowościowych. Ukończenie akademii daje im pewne złudzenie wybitności, którego społeczne niezaspokojenie prowadzi do frustracji. Zdecydowanie jest potrzebny otwarty opis obecnego statusu artysty.

Maria Anna Potocka

(1950) – filozof sztuki, dyrektor Muzeum Sztuki Współczesnej w Krakowie MOCAP. Założycielka czterech galerii autorskich (1972–2010), twórczyni międzynarodowej kolekcji sztuki (1973–2010, przekazanej do MOCAP-u), kurator wielu wystaw. Członkini IKG, AICA, ICOM, SPP, redaktor magazynu artystyczno-filozoficznego „Tumult” (1990–1994). Autorka książek: *Malarstwo* (1995), *Rzeźba* (2002), *Estetyka kontra sztuka* (2007), *To tylko sztuka* (2008), *Fotografia* (2010), *Wypadek polityczny* (2010), *Nowa estetyka* (2016), *Zofia Posmysz. Szrajberka 7566* (2018), *150 malarstwa polskiego* (2019).

1 „Ponieważ sztuka nie jest dziełem woli, uchyla się ona również od wszelkiej oceny moralnej; nie dlatego, by zwalniał ją z tego jakiś szczególny przywilej, ale po prostu dlatego, że taka ocena nie może jej dotyczyć” (B. Croce, *Zarys estetyki*, przekł. zbiorowy przejrzał i wstępem poprzedził Z. Czerny, PWN, 1961, s. 33).

Spostrzeżenie, że sztuka jest prywatną formą „uprawiania” egzystencji, gdzie najważniejszym talentem jest oryginalność osobowości, uważam za istotny problem kulturowy, który domaga się wprowadzenia w świadomość społeczną. Podniosłam ten problem na Kongresie Kultury Polskiej w Krakowie, naiwnie zakładając, że na tego typu kongresach – podobnie jak na soborach – omawia się obie strony medalu, czyli „tacę i dogmat”. Tymczasem w Krakowie interesowano się wyłącznie tacą. Sygnalizowanie w takim kontekście zagmatwanego problemu teoretycznego i postulowanie zmiany dogmatu zostało przyjęte jako coś niewłaściwego, jako stracona szansa na domaganie się korzyści praktycznych. Ta sytuacja wyraźnie pokazała, że brakuje okazji do dyskusji o teoretycznych problemach sztuki.

SPOŁECZNA ROLA SZTUKI

W XX wieku sztuka została całkowicie wypuszczona na wolność. U artysty nie zamawiano już ani określonych tematów, ani nastrojów. Od tego momentu artysta mógł się cieszyć i dręczyć własną wolnością. Jego egzystencjalny kontrakt z własną sztuką stał się sprawą prywatną. Jednakże kultura jest głęboko uzależniona od sztuki tworzonej przez artystów. W końcu jest to twór przez nią zainicjowany, przez nią otwarcie przez wieki stymulowany i od niej zależny. Sztuka była (i jest) jednym z filarów kultury. Teraz, z powodów ewolucyjnych, kultura uwolniła sztukę od bezpośredniej zależności od siebie. Wyjaśnienie ma charakter antropologiczny. Dawniej ilość artystów była regulowana przez ilość zamówień. Poszukiwano wybitnie utalentowanych rzemieślników mających określoną pracę do wykonania. Nie dostrzegano w tworzeniu przywileju przynależnego człowiekowi. To podejście drastycznie się zmieniło. Sztuka zaczęła być traktowana jako pogłębiona forma istnienia. To jest konkluzja, którą zawdzięczamy artystycznej rewolucji XX wieku. Jej zwieńczeniem jest hasło Beuysa, że „każdy człowiek jest artystą”. Realizację tego hasła umożliwiła rewolucja medialna w sztuce, likwidując ograniczenia manualne i pozwalając prawie każdemu człowiekowi odkryć w sobie jakiś talent wykonawczy. Od tego momentu jedynym warunkiem „dorwania się do sztuki” była osobowość, a raczej jej nieposkromienie, domagające się wewnętrznego dyskursu poprzez dzieło.

Dawniej kultura zatrudniała artystów, co powodowało, że tylko nieliczni się nią zajmowali. Od XX wieku kultura zaczęła zachęcać wszystkich do bycia artystą, coś obiecując, ale niczego nie gwarantując. Sztuka stała się przywilejem człowieka. W tej sytuacji trudno było

bronić komukolwiek do niej dostępu, wręcz obowiązkiem kultury stało się otwarcie drzwi do sztuki. Ale tym samym kultura zainicjowała „nadprodukcję” artystów. Z kulturowego punktu widzenia było to niewątpliwie korzystne, ponieważ pojawił się znacznie bogatszy materiał selekcyjny. Brakowało jedynie zdefiniowanego aparatu interpretacyjnego. W tym celu została powołana skomplikowana i wielopoziomowa struktura, której podstawowym zadaniem stało się przeglądanie wszystkiego, co z punktu widzenia paradygmatu kulturowego może być sztuką istotną i tym samym kwalifikującą się na kandydata do historii sztuki. W ten sposób powstał Artworld.

Dzięki temu, że pojawiło się znacznie więcej artystów, kultura rozszerzyła swój zakres interpretacyjny. Tym, czego poszukuje, jest komentarz nieosiągalny poprzez stereotypowe spojrzenie krytyczne. W obrębie sztuki odbywa się polowanie na krytykę nieprzewidywalną, wizjonerską. Taką krytykę zapewnia jedynie osobowość nieskompromisowana myśleniem wspólnym. Nie wszyscy tworzący w danym czasie artyści spełniają te warunki, więc wielu zostaje pominiętych.

FAŁSZYWKI

Sytuacja jest stosunkowo nowa, a w każdym razie ewolucyjnie niedomknięta. Stąd stare miesza się z nowym i wynikają z tego różne nieporozumienia i rozgoryczenia. Najdogodniejsze byłoby rozdzielenie tych światów i osiągnięcie sytuacji utopijnej, w której artyści byłiby nieświadomi operacji wykonywanych przez Artworld w imieniu kultury. Artyści byłiby wprowadzani do „umysłu społecznego” z całkowitym pominięciem wynikających z tego nagród, takich jak wzrost cen rynkowych czy napędzanie gwiazdorstwa. Chwilowo jest to concept całkowicie utopijny, więc nie udaje się utrzymać w tajemnicy przed artystami ogromnych korzyści, jakie gwarantuje zainteresowanie ze strony Artworldu. Wizja potencjalnej nagrody jest niezwykle atrakcyjna i często silniejsza od poczucia wartości jaką jest tworzenie sztuki. Wielu artystów bardziej pragnie sukcesu niż prywatnego wzbogacenia poprzez twórczość. W ten sposób przegrywają własną prywatność i tym samym tracą szansę na ewentualny sukces. Błędne koło to jedna z najczęstszych konstrukcji cywilizacyjnych.

ODPOWIEDŹ

Na tytułowe pytanie „Po co jest sztuka?” należy udzielić dwóch odpowiedzi. Z pozycji artysty sztuka jest prywatnym narzędziem poznawczo-krytycznym. Z pozycji społeczeństwa sztuka jest źródłem komentarzy, do których myślenie wspólne nie jest zdolne.



MIEJSCE CZŁOWIEKA A TERYTORIUM ARTYSTY

I. WPROWADZENIE

Zgodnie z prawami przyrody roślina żyje głównie dzięki korzeniom czerpiącym życiodajne soki z ziemi. Podobnie jest z człowiekiem, który tylko wtedy może osiągnąć pełnię człowieczeństwa i rozwoju cywilizacyjnego, gdy posiada określoną kulturową przeszłość, pamięta o niej i potrafi przekazać ją następnym pokoleniom. Przeszłość ta łączy jednostkę ze wspólnotą innych ludzi i miejscem na ziemi, gdzie przyszło im żyć.

II. MIEJSCE CZŁOWIEKA

To miejsce na ziemi często nazywane jest regionem, regionem kulturowym. Słownik etnologiczny PWN terminem tym określa terytorium dające się wyróżnić ze względu na wyraźną odrębność cech kultury właściwych ludności stale to terytorium zamieszkującej. Nośnikiem tych cech jest tradycja kulturowa czyli treści kulturowe przekazywane w czasie i przestrzeni. Treści te to m.in. zwyczaje, poglądy, wierzenia, sposoby myślenia i zachowania, normy postępowania itp. Wreszcie przejawy materialnego bytu człowieka, takie jak budownictwo, architektura, wszelkie działania artystyczne czy wyróżniający regiony strój. Z pokolenia na pokolenie przekazywane są one przez tradycję, która jest jednym z głównych

sposobów włączania przeszłości do aktualnej świadomości społecznej, jak podaje to Encyklopedia PWN. Wybitny etnolog, Irena Bukowska-Floreńska w tomie Wspólnota i odrębność regionalna, pisze: „Każdą wspólnotę cechuje jakaś właściwość, swoistość, a więc odmienność od innych, czyli odrębność. Świadomość tej odrębności kształtuje się nie tylko w wyniku wspólnego zamieszkiwania określonego terenu, używania tego samego języka (bądź gwary), wspólnie wytwarzanej kultury (...) Wynika ona także z posiadania wspólnej tradycji kulturowej, której wartość jest społecznie uznawana, doceniana i przekazywana (...) z pokolenia na pokolenie i z grupy do grupy”¹.

Miejscem takim jest okolica, z której wywodzą się przodkowie, rodzice. Krzyżujące się obszary, gdzie przebywało się ale nie zawsze wszystko rozumiało. Czuło się wspólnotę z tymi terenami a wspomnienia jako część życia w danej rzeczywistości. Zastyszane opowieści, odwiedzane i poznawane krainy. Wędrówki wśród zabudowy i przyrody. Często w tym tworzeniu i przekazywaniu tradycji rodzinnej i regionalnej było wiele przerw. Zapomnianych wątków, które z czasem były zastępowane wy-

¹ I. Bukowska-Floreńska (red.), Wspólnota i odrębność regionalna, Rybnik 1994.

Krzysztof
Chyży



obrażnią. Wypełnieniem wspomnień twórczym czynnikiem. Wszystko razem mogło stworzyć zbiór inspiracji dla działań twórczych. Ważne jest to, że pogranicza Polski północno-wschodniej, od wieków stanowiły obszar wpływu wielu kultur, które wzajemnie się przenikały i uzupełniały, tworząc lokalny koloryt tych ziem. Z jednej strony mozaika Polaków, Litwinów, Białorusinów i Ukraińców, wraz z rosyjskimi staroobrzędowcami i muzułmańskimi Tatarami, żyjąca pośród osad i jezior. Z drugiej - krajobraz, z upływem czasu, uzupełniany o kolejne części tej wielokulturowej układanki. To swoisty rysunek i wyraźna kolorystyka tych miejsc.

Schemat ułożenia linii terenu. Rozmieszczenie poziomych i pionowych elementów. Występowanie dominant w postaci brył budynków, innych form zagospodarowania terenu, sieci instalacyjnych i w końcu istniejącej oraz przez człowieka, wprowadzonej zieleni. Podlasie przecież żyje przede wszystkim krajobrazem, obszarem wiejskim. Przestrzeniami otwartymi, z oddechem pól i lasów, a zabudową skromną jakby chowającą się przed naturą. Ludzie zdaje się także wolą ukrywać się, asymilować z otoczeniem, pozwolić działać miejscom, gdzie przebywają - na ile jest to konieczne wprowadzać zmiany, bardziej jednak szukać spokoju i równowagi. Przesadna ingerencja, właśnie na takich terenach szczególnie krzywdzi przestrzeń i burzy harmonię. Są jednak przykłady, jak można stworzyć miejsce czy miejsca, które będąc śladem naszej działalności w danym, naturalnym otoczeniu nie muszą powodować konfliktu z naturą a raczej inicjować dialog - obiekty historyczne, już bez swojego znaczenia z przeszłości, nadal jednak żyjące swoim życiem i zapraszające, nie do wspominania, lecz korzystania i tworzenia, np. Kanał Augustowski. Rozwijają się w ten sposób środowisko przyrodnicze oraz kulturowe i zabytkowe. Ważne elementy

dla wszelkich działań artystycznych i programów twórczych.

III. TERYTORIUM ARTYSTY

Miejsca, które są pełne wspomnień, wrażeń oraz istniejących obiektów i przestrzeni. Ludzie oraz ich zwyczaje, wierzenia, nieodłączna codzienność utkana z obyczajów. Materialna działalność człowieka i jego duchowość. Sposób zagospodarowania otoczenia, kształty budynków, style architektury, zdobienia i stosowana kolorystyka na tle kolorytu przyrody. Dla artysty wszystko to jest wielkim zbiorem wpływów i pomysłów. Możliwością wytyczenia drogi artystycznej, rozwoju technik warsztatowych, kształtowania kompozycji i analizy rozwoju sztuki w różnych dziedzinach na określonym terenie. Staje się dobrym punktem wyjścia, także obszarem powrotu. Widać to w twórczości znanych artystów.

Odwoływanie się do dziedzictwa Kresów i inspiracja kulturą Wschodu oraz chrześcijańską tradycją widać w pracach Andrzeja Strumiłły.

Forma malarstwa Leona Tarasewicza zrodzona z obserwacji pejzażu ze stron rodzinnych, szczególnie zestawieniem barw występujących w przyrodzie.

Krajobraz jest ważny nie tylko w przypadku pojedynczych twórców. Przykładem są kolonie artystyczne w Szklarskiej Porębie i Kazimierzu nad Wisłą. Artyści, którzy na terenie Podlasia biorą udział np. w cyklicznych plenerach, skupiają się w lokalnych galeriach i grupach twórczych również zauważają piękno rodzimych miejsc i chętnie czerpią z tego inspirację. Pomimo tego, że miasta są ważnymi punktami ludzkiej działalności, jednak w przypadku Podlasia to okolice skupisk ludzkich wydają się formować odpowiednie tworzywo oraz przestrzeń dla twórczości.

Terytorium artysty opiera się na doświadczeniu miejsca pochodzenia, z jego wartościami duchowymi, przekazem tradycji, które to miejsce kulturowo określa.

Dając w ten sposób malarstwu zaplecze w postaci rzeczywistości (z elementami przeszłości), którą można odpowiednio opisać, przetworzyć lub uzupełnić. W każdym przypadku uzyskać ciągłość ludzkich działań, także tych związanych ze sztuką. Przypominających z jakiego miejsca pochodzimy. Jednocześnie możliwość poznania nowych terytoriów może dobrze wpłynąć na przestrzeń - miejsce, z którego się wyruszyło i dokąd zawsze można wrócić. W ten sposób rozwijać region kulturowy np. wymianą doświadczeń, rozpowszechnianiem twórczości innych artystów, doskonaleniem własnych działań.



SZUKAJCIE JACKA

Przed wojną, w małym miasteczku w Polsce, w obórcie samotnej żydowskiej kobiety podrzucono dziecko z karteczką: „Niechrzczony, na chrzcie ma dostać imię Jacek”. Żydówka wychowała dziecko jako swoje, ale w duchu katolicyzmu.

Taką historię opowiedziała mi mieszkanka białostockich Skorup pani Anna Gołębiewska, przecudowna osoba, obdarzona niebywałą pamięcią, życiową mądrością i roztropnością w ocenianiu innych i naszego świata. Rozmawialiśmy gdy miała 106 lat, dziś ma 107. Tak sobie myślę, że Pani Anna powinna być prezydentem tego kraju, być może wówczas by znormalniał.

Historia odnosiła się do miejsca urodzenia Pani Anny, a mianowicie Niebylca... Początkowo sądziłem, że to nazwa zmyślona, bowiem Niebylec to chyba coś co nie istnieje. Ale jest, pięknie przycupnięty gdzieś na Podkarpaciu. No więc trzeba znowu jechać... ale co... tak na pałę? Jaki plan? Jak się za to zabrać, jak to sfilmować... opowieść mam, ale jak ją rozegrać, zwłaszcza gdy się ma kasę tylko na paliwo.

Na szczęście przypomniałem sobie o Grześku Radzewiczu, bardzo pogodnym gościu, który na pierwszy rzut oka wygląda jakby chciał cię pogryźć. Grzesiek jest człowiekiem obdarzonym ogromną wyobraźnią i artystyczna wrażliwością. I jest wyjątkowo łagodny.

Zaniepokoiło mnie to, że Grześka prawie wszyscy lubią... cóż to za artysta, że nie ma wrogów?! Mam nadzieję, że jednak ma...

Opowiedziałem mu historię i przedstawiłem propozycję malowania w Niebylcu poszczególnych scen do filmu. Grzegorz wpadł na lepszy pomysł, a więc malowanie tych scen na jednym obrazie, i rejestrację w konwencji time lapse: tworząc historię, która pojawia się i znika. Trwa, ale już tylko w naszej pamięci. Jest i nie jest. Jak Niebylec.

Wybraliśmy się do Niebylca, na spółę, ja samochód, on paliwo, ja pieczywo, on napoje. Spędziliśmy tam kilka fantastycznych dni (w oddzielnych łódeczkach rzecz jasna) skupiając się na filmowo malarskiej pracy i myślę, że to była jedna z fajniejszych moich wypraw, i jak słyszałem także dla Grzegorza. Wszystkie żuliki z miasteczka za nami chodziły a my cierpliwi dokładaliśmy im od 1 do 2 złotych, które im zabrakło aby obalić niebylecką flaszkę.

Z naszego wypadu powstał film „W poszukiwaniu Jacka” - Searching Jack (jest obecny na You Tube), potem zapis akcji mandalowej w Galerii Słędzińskich, a najbardziej pięknie urosło nam pytanie „Gdzie Właściwie Jest Jacek? I to pytanie niechaj was prowadzi, bo w każdej twórczości pytania są daleko bardziej produktywnie aniżeli proste odpowiedzi.

■
Tomasz
Wiśniewski



RELACJE SUBTRAKTYWNE

Krzysztof
Koniczek

...to nic innego jak mieszanie kolorów i ich wpływ na siebie... Tytuł dość zagadkowy, a zamiar zbiorowej wystawy, stanowił o relacji artysty ze światem za pomocą kolorów. Wystawa obfitowała w indywidualne sposoby reakcji na otaczającą nas rzeczywistość. Każdy obraz niósł za sobą pewien przekaz, poparty kolorystyką, co wprawiło widza w odpowiedni nastrój, a co za tym idzie

w specyficzny, indywidualny odbiór każdej z prac.

Kolor w malarstwie ma pozycję szczególną, co dało się zauważyć w pracach uczestników wystawy. Były debiuty. Michał Ćiruk i Radek Borowik. Prace ich w pewien sposób wyróżniały się... „literackością”, co w ich przypadku (uprawiają hip-hop) jest jakby naturalną cechą przekazu artystycznego. Wystawa pokazała że kolor niezależnie od tematu i techniki prac stanowi wartość nadrzędną obrazu.



Artyści:

Artur Chaciej, Elżbieta Gibulska, Jerzy Łukaszuk, Marek Chomczyk, Michał Ćiruk, Siergiej Maliszewski, Joanna Czajkowska, Jacek Niekraś, Edward Dwurnik, Ela Grzybek, Michał Janczuk, Anna Halarewicz, Krzysztof Koniczek, Daria Ostrowska, Edyta Niechwiełowicz, Iwona Ostrowska, Lesław Pilcicki, Grzegorz Radziejewicz, Alicja Szkil, Bogusław Lustyk, Adam Ślefarski, Zbigniew Waszczeniuk, Bernadetta Nikitorowicz.





WYSTAWA PTAKI MÓWIĄ

Krzysztof
Koniczek



■ **P**taki mówią – wystawa Iwony Ostrowskiej i towarzyszące jej teksty poetyckie autorstwa Grzegorza Pikory, to oryginalne przedsięwzięcie artystyczne. Pomimo, że prace Iwony Ostrowskiej bywały na zbiorowych wystawach w Galerii Marchand, w tym przypadku zaistniała nowa formuła... obraz – tekst...

Obrazy, jak ptaki, stanowiły dynamiczną wypowiedź artystki, w pełni odpowiadającą jej temperamentowi twórczemu i również żywiołowej osobowości (w dobrym znaczeniu tego słowa). Artystka maluje z rozmachem ale dość oszczędnie. Jej ptaki są ciągle przed lub po przylocie, gotowe zerwać się do dalszego lotu, do wiecznej wędrówki...

Ptaki, jak ludzie, mają swoje obyczaje, hierarchie, lęki i radości.

I to widać na wystawie... rozwibrowane kontury ptaków, świadczą o ich niepewnym bycie, o ciągłym poszukiwaniu, braku stabilno-

ści, braku bezpieczeństwa (cechy jakże ludzkie). Ostrowska, jak ptak, wędruje od wystawy do wystawy, od pleneru do pleneru...a jest to jej naturalny sposób na życie. Ostatnio swoje gniazdo zaczęła wic na Podlasiu. Takich ludzi nam tu potrzeba. Iwona potrafi zjednać sobie ludzi „zarazić” ich pozytywną i twórczą energią, oraz sprowokować do działania. Na jej drogę twórczą ogromny wpływ miał Bogusław Lustyk – artysta, mentor i przyjaciel. Dzięki jego wsparciu i sugestiom ptaki Iwony stały się ptakami, symbolami, i jakże często prezentują nasze ludzkie zachowania. Mądra i wyważona poezja Grzegorza Pikory stanowiła uzupełnienie i wносиła nieco spokoju w rozwibrowane ptasie bractwo. To bardzo interesujące połączenie ekspresji malarki z poetycką refleksją. Ptaki – uosobienie wolności i przestrzeni bez granic, to recepta dla ludzi na otwartość, na kontakt z nieznanym, ale ciekawym światem i z drugim człowiekiem.





STARAM SIĘ PROPSOWAĆ DOBRO

Diana
Nachiło

Rap, poezja, malarstwo – Cira, a właściwie Michał Ciruk, śmiało sięga po różne formy wyrazu, jest jednak ostrożny w definiowaniu samego siebie. Chociaż życie wypełnia mu głównie muzyka, lubi słuchać ciszy.

Cira nie boi się wychodzić poza schematy i wchodzić w nowe projekty artystyczne. Rapuje, uczy młodzież hip-hopu, pisze wiersze. Coraz chętniej maluje. Pod koniec ub.r. w Galerii Marchand można było zobaczyć jego obraz „Wszystko na mojej głowie”, opowieść o wiele bardziej osobistą niż niejeden z hip-hopowych kawałków.

Te same zasady, co kiedyś

Na spotkanie do białostockiej Galerii Marchand przychodzi prosto z warsztatów hip-hopu dla młodzieży, organizowanych przez stowarzyszenie Klanza. *Skończyłem anglistykę i mam doświadczenie pedagogiczne* – mówi Michał. *Młodzi są bardzo ciekawi kultury hip-hopowej, ale zdarza się, że artyści, których przybliżam, są im mało znani. Moim zdaniem, rap ciągle jest uniwersalną, atrakcyjną i popularną formą wyrazu. Ma w sobie pierwiastek buntu. Można się z nim utożsamić* – dodaje. *Nie pozuję przed młodzieżą. Czasy się zmieniły. Dla młodych jestem już z innego świata, ale są go ciekawi. Czasem zdziwieni, jak prężna scena hip-hopowa istnieje w Białymstoku. Pokazałem im niedawno film o graffiti. Byli nim bardzo zaabsorbowani* – wyjaśnia.

Opowiada, jak bardzo zmieniło się środowisko i kultura hip-hopowa. Podkreśla, że kodeks pozostaje bez zmian. Nieważne, że współczesny rap to już nie tylko Mcing (nawijka), Djing (didżejka), Bboying (taniec) i graffiti. Ważne są zasady. Wciąż te same, co kiedyś.

Pytam, czy po tak wielu zagranych koncertach miał tremę przed spotkaniem z profesorem Janem Miodkiem. Tak, tym profesorem od programów „Ojczyzna polszczyzna” i „Słownik polsko@polski”, w którym Michał i jego narzeczona Zuzanna byli niedawno gośćmi. *Trema była niesamowita* – wspomina. *Nigdy czegoś takiego nie doświadczyłem. To przecież mistrz słowa. Atmosferę rozładował sam profesor, który – jako zapalony kibic – co chwilę podpytywał operatorów o wynik meczu* – opowiada. Michał wspomina też, że przy okazji poznał etymologię swojego nazwiska. *Okazało się, że Ciruk pochodzi od ćwierkania ptaków. Byłem zachwycony, bo jestem ornitologiem amatorem. Lubię obserwować ptaki. Zimą do karmnika na balkonie zlatują się sikorki, wróble, sówka.. Sroki przeganiają mniejsze ptaki. Wszystkie je płoszy mój kot* – mówi z uśmiechem. Dodaje, zupełnie już poważnie: *Kocham naturę. Jak tylko mogę, uciekam do lasu. To jest moja namiastka kościoła. Zbieram myśli, rozmawiam z Bogiem. Tak, jestem osobą wierzącą.*

Pytany o mistrzów wspomina, że w czasach licealnych był zapalony w Witkacego. *W liceum chyba wszyscy przechodzą etap Witkacego. Mnie też to nie ominęło, chociaż nigdy nikomu nie stawiałem ołtarzyków. Zależało mi na tym, żeby być indywidualistą. W dziedzinie literatury bardzo cenię Herberta i, jak wszyscy raperzy, czytam Bukowskiego* – zaznacza. Podkreśla, że prawdziwymi mistrzami są dla niego rodzice.

Wracamy do początków. Jak mówi Michał (urodzony w 1983 roku w Białymstoku), wszystko zaczęło się pod koniec podstawówki (Szkoła Podstawowa nr 9). *Siedziałem w ostatniej ławce, tak jak to miałem w zwyczaju. Pisałem pierwsze wiersze, teksty, robiłem rysunki. Tak to*

się zaczęło – wspomina. Po drodze były zajęcia w MDK-u, później nauka w I LO. *Tam się trochę rozkręciłem z plastycznymi rzeczami. Coraz bardziej zaczął odpowiadać mi też hip-hop, jako forma ekspresji* – opowiada Cira. Wspomina, że był w klasie sportowej. *Do dziś uważam, że sport jest najlepszy na wszelkie dołki życiowe* – podkreśla. Pytam, czy receptą na życiowe apokalipsy może być też sztuka? *To najlepsze, co mogło mnie spotkać* – odpowiada. *Jestem bardzo wdzięczny, że ktoś na górze nie poskąpił mi talentu i tego, że mogę tworzyć. Bez tego nie wyobrażam sobie wyjścia z niektórych kryzysów, których bym nie przeżywał, gdybym nie mógł uciec w jakąś kartkę, płótno – jakiegokolwiek twórcze rzeczy. Nie raz bywało ciężko i sztuka mnie ratowała* – zaznacza.

Wyszło Ci, chłopie!!!

Zapytany o miejsca, do których ma szczególny sentyment, w których zagrał niezapomniane koncerty, bez wahania odpowiada, że w Famie. Od białostockiego lokalu wzięta nazwę „mała grupa przyjaciół” Fama Familia. *W Famie zagrałem kilka świetnych koncertów, to jest mój top jeśli chodzi o lokale* – mówi Cira.

Najbardziej ikoniczne dla niego miejsce w Białymstoku to Górka św. Magdaleny, niedaleko Opery i Filharmonii Podlaskiej. *Poświęciłem jeden kawałek temu miejscu. Odpowiada mi jego aura. Mam dużo wspomnień z czasów licealnych, bo to blisko pierwszego ogólniaka. Lubię tam przebywać. Fajne wersy przychodzą mi wtedy do głowy. To miejsce coś w sobie ma, ciągnie mnie tam* – opowiada. Lubię też uliczki ze starymi domami: Młynową, Kijowską, Mohylowską. Lubię ten klimat. Coraz mniej jest takich miejsc – zaznacza.



Klimat tych miejsc został zapisany w „Pocztówkach z miasta B”, minialbumie wydany prawie 5 lat temu z funduszy stypendialnych Prezydenta Miasta Białegostoku. Projekt zyskał miłośników w różnym wieku, o czym Cira przytacza anegdotę. *Odebrałem kiedyś telefon. W słuchawce słyszę młody głos. „Cześć Cira, chciałam kupić od ciebie „Pocztówki z miasta B”, bardzo mi się podobają. Przyjdź z koleżanką pod Central”. Przychodzę, czekam 10 minut. Widzę, że dwie 60-70-letnie Panie czekają i się rozglądają. Okazało się, że są zainteresowane moją twórczością. Zrobiło mi się bardzo miło, że pocztówki są na tyle uniwersalne, że trafiają do odbiorców w różnym wieku. Zdarza się też, że oddzwiają się ludzie ze świata. Mają wspomnienia białostockie. Mówią, że fajnie obrazują miasto* – opowiada Michał.

Pytam, czy faktycznie jest dumny z bycia białostoczanie? *To zero przypadku być z Białegostoku. Pocztówkami wręcz to gloryfikuję. Z jednej strony, Białystok to duże wojewódzkie miasto, ale nie ma tu tego strasznego pędu. Z każdej strony jest las, gdzie lubię uciekać. Lubię taką naszą „przaśność”. Nie wstydę się tego* – mówi. Na pytanie, co chciałby napisać na pocztówce, którą wysłałby sobie i odczytałby za 20 lat, odpowiada: *Gratuluję ci wytrwałości, stawiania na to, co kochasz. I, że wyszło ci chłopie!!!*.

Bardziej retro

Niespełnionym marzeniem Ciry jest aktorstwo. *W sumie, jako raper, mogę być trochę aktorem. Zagrałem też w dwóch filmach krótkometrażowych* – opowiada Michał. Spełnione marzenia to bogata dyskografia hip-hopowa, o której można poczytać w Wikipedii, chętnie wyświetlane, często spektakularne teledyski

i mnóstwo koncertów. *Lubię kontakt z publiką – podkreśla Cira. Na scenie czuję się bardzo dobrze. Kiedy mijają pierwszy stres, to czuję się jak ryba w wodzie. Lubię to robić – opowiada.*

Widać, że to, co robi na scenie wykracza poza rapowane wyrażanie gniewu. *Na pewno staram się łamać negatywne wzorce stereotypowe. Staram się propagować, czyli promować dobro. Wiadomo, że hip-hop to kultura przestępstw i biedy. W tekstach próbuję to odczarować i pokazać wartościowe rzeczy – mówi Michał.*

Przez rok pracował w fundacji Spe Salvi zajmującej się pomocą osobom bezdomnym. *To było wartościowe. Lubię pomagać ludziom. Bezdomność to jednak bardzo trudny temat i w pewnym momencie zaczęła mnie przerastać jego skala – opowiada. Dodaje, że od zawsze lubi rozmawiać z ludźmi, ma do nich życzliwy stosunek. Może dlatego mam wielu serdecznych przyjaciół, na których mogę liczyć – zaznacza. Śledząc jego twórczość hip-hopową widać, z jak wieloma twórcami współpracuje od lat. Na przykład Hukos – wymieniam. Znamy się od podstawówki – mówi Michał. Nasz pierwszy skład Panoramy Paru Faktów to Szafran, Hukos, Kracy i ja. Pierwsze teksty, nagrywki... Te przyjaźnie trwają do dziś. Kubik... – wymienia z życzliwością i sentymentem. Nie ukrywa, że jest nie tylko sentymentalny, ale i „analogowy”. Trochę przerastają mnie social media. Możliwe, że mam przez to mniej słuchaczy. Wolę jednak twórczą pracę. Wiem, że w dzisiejszych czasach trzeba być dobrym promotorem muzyki. Uczę się tego. Widzę i obserwuję, ale w gruncie rzeczy, jestem taki bardziej retro – mówi Cira.*

Nie jestem taki, jak moje obrazy

Chociaż Cira świetnie sobie radzi na scenie hip-hopowej, przyznaje, że graffiti robił tylko na papierze. *Może trochę brakowało mi odwagi*



– *mówi Michał. Trzeba być szybkim, precyzyjnym, a ja, jak robię pracę, to bardzo długo nad nią myślę. W graffiti jest to niemożliwe. Trzeba szybko coś narysować i uciekać – dodaje.*

Elastyczności uczą go audycje prowadzone w Radio Akadera. *Lubię zonglować podgatunkami, pokazywać, że jest scena uliczna i bardziej intelektualna – opowiada. Cira lubi zonglować nie tylko słowem, ale i obrazami. Pytany o techniki malarskie zaznacza, że ostatnio są to kolaże. Jest w tym coś z rapowania – rzucania krótkich fraz, miksowania ich, eksperymentu. Na obrazach często pojawiają się słowa ze starych książek i magazynów. Słowo miesza się z obrazem. Nigdy niczego nie planuję i to, co się pojawia często jest schizofreniczne i niepokojące, podczas gdy ja w życiu codziennym taki nie jestem – zaznacza Michał.*

Obrazy są tak samo intymne, jak poezja – mówi Michał. Jakie emocje przekazuje obrazami? Mówi, że najchętniej zapytałby odbiorców. Sam się często nad tym zastanawiam. Malowanie traktuję jako terapię swoich demonów. Czuję to też, jako oczyszczenie. Cieszę się, że nie zrobiłem w emocjach niczego destrukcyjnego, tylko twórczo je przetransformowałem – mówi. Deklaruje też, że chciałby dawać sobie więcej wolności, wypowiadać się niekoniecznie w stylu akceptowalnym przez przeciętnego słuchacza rapu, bardziej w zgodzie z tym, co czuje. Tak samo jest z obrazami. Ludzie mówią: to niepokojące. Ja w ogóle nie jestem taki, jak moje obrazy, chociaż jak każdy człowiek jestem trochę pozytywny, trochę pojechany – podkreśla Michał.

Bardzo się cieszy ze współpracy z Marchandem. Przed weryfikacją obrazów przez Krzysztofa Koniczka i zaproszeniem Janusza Żabiuka, wielokrotnie odwiedzał galerię. *Oczywiście, chciałabym kiedyś mieć autorską wystawę. Na ten moment, bardzo się cieszę z przyjaznego gestu w moją stronę i możliwości prezentacji – mówi. Wcześniej, przed rozpoczęciem przygody z olejami, obrazy i rysunki pastelowe Michała można było obejrzeć w nieistniejącym już lokalu „Kopiluwak”. Jego prace były też prezentowane w trakcie letniej akcji „Kuriera Porannego”. Wystawa „z prawdziwego zdarzenia” wciąż przed nim.*

Michał podkreśla, że jest bardzo ostrożny w tematach artystycznych. Na definicje, że jest poetą albo malarzem, reaguje z dystansem. *Może ze skromności... Może z odpowiedzialności za „ciężar gatunkowy” tych definicji... Mówi: Piszę i maluję. Lubię to robić, ale czy można mnie nazwać poetą i malarzem? Chyba do tego doram.*



PAŁAC CZAPSKICH W DOBRZYNIEWIE

Dwór zarządców
folwarku
w Dobrzyniewie,
rozebrany w 1921 r.
odtworzony z pamięci
przez Jakuba
Antoniuka, mieszkańca
Dobrzyniewa Dużego,
za: M. Bielska,
Buntownik z wyboru
- Tomasz Czapski,
starosta knyszyński
1740-1784, Praca
magisterska, Białystok
2007, s. 119.

Jeśli historia rozwoju gospodarczego czegoś nas uczy,
to tego, że o wszystkim przesądza kultura.

D. Landes, Bogactwo i nędza narodów: dlaczego jedni są tak bogaci, a inni tak ubodzy, Warszawa 2005, s. 577.

Niedawno w ciekawym artykule o problemach polskiej kultury Marek Kozak wykażał, że największą liczbą zamków, dworów i pałaców na 1000 km² cieszą się województwa dolnośląskie i wielkopolskie. Zabytków jest zdecydowanie więcej w zachodniej, mniej we wschodniej Polsce. W województwie wielkopolskim jest 695 obiektów, w dolnośląskim 660, w mazowieckim 418, województwo podlaskie zaś liczy ich dziesięciokrotnie mniej – 64.

Zamki, pałace i dwory są ważną częścią dziedzictwa kulturowego, tyle że na Podlasiu z niegdyś istniejącego (względnie?) ich bogactwa nie pozostało prawie nic. W najlepszym razie wymienia się Jana Klemensa Branickiego, hetmana wielkiego koronnego, piastującego wiele godności właściciela ogromnego majątku, posiadacza Orderu Orła Białego, Orderu Złotego Runa i Krzyża św. Andrzeja. Jan Klemens Branicki z małżonką ufundowali wiele świątyń z wyposażeniem, zamówili bardzo wiele dzieł sztuki, tyle że zrzędzeniem losu podlaskie kolekcje i zbiory, nie tylko Branickich, uległy rozproszeniu, zaginęły albo uległy zniszczeniu. Tak się stało z zamkami, pałacami i dworami w Choroszczy (odbudowane), Kodniu, Korczewie, Kowalewsczyźnie, Mielniku, Orli, Siemiatyczach i Tykocinie, by wymienić tylko kilka z obszernej kiedyś listy.

Branicki był mecenasem najbardziej znanym, ale niejedynym. Wcześniej bogate zbiory zgromadził w Tykocinie król Zygmunt August, później swoją kolekcję malarstwa złożył tu Bogusław Radziwiłł. Księżna Anna Jabłonowska stworzyła w siemiatyckiej rezydencji znany w swoim czasie gabinet osobliwości, swoją kolekcję miał Jan Gloger w Jeżewie, Ciecierscy w Bacikach, gdzie w galerii przodków królowały dzieła Marcella Bacciarellego, Jana Chrzyciela Lampiego, Rafała Hadziewicza i innych.

Zawziętym wrogiem hetmana Jana Klemensa Branickiego był starosta knyszyński Tomasz Czapski, magnat, kolekcjoner, właściciel galerii w pałacu w Dobrzyniewie. O pałacu słuch wszelki zaginął. Tomasz był okrutnikiem i pniaczem, słynął z gnębienia poddanych (miał ich spuszczać ze wzgórza uwieczonych w wybitej od wewnątrz gwoździami beczce!), procesował się z miastami i własną rodziną, był stałym bywalcem trybunałów i sądów. Starostwo knyszyńskie objął w 1740 r., później starostwem zarządzała jego matka, Konstancja, baczna obserwatorka hetmańskich zabiegów. Nie uchroniła syna przed karą, za przewiny w 1749 r. został on skazany na pozbawienie wolności, karę majątkową i banicję. Starosta kary nie spłacił, po wyroku starostwo knyszyńskie przed przejściem go przez hetmana, zostało poddane inwentaryzacji. Hetmanowi udało

Joanna
Tomalska-
Więcek

się przejąć część włości przeciwnika: udzielił poparcia prześladowanym przez starostę poddanym i wykorzystał dla swoich celów nieporozumienia między braćmi Czapskimi.

Tomasz Czapski poślubił swoją kuzynkę, córkę stryjecznego brata, Jana Ansgarego, Marię, z którą miał dwanaścioro dzieci, ale wiek dojrzały osiągnęły tylko dwie córki, obie Urszula (zm. 1782) i Konstancja (zm. 1791), kolejne żony Stanisława Małachowskiego. Z drugą żoną, Konstancją, 1v. Radziwiłłową, Stanisław doczekał się jednej córki, która przeżyła zaledwie jeden dzień (zm. 1788). Wychowywał pasierbicę, Marię Urszulę Radziwiłłównę, którą nie zajmował się jej ojciec, książę Dominik.

Zajmujący dwa wzgórza nad bagnistą doliną rzek Supraśl i Biała folwark i pałac miał przetrwać do lat 60. XVIII w., dłużej zachował się użytkowy ogród, obsadzony szpalerami lip, klonów i jesionów. Pałac składał się z ośmiu apartamentów, łącznie z pawilonem i oficyną, o łącznej liczbie 26 pomieszczeń oraz pięciu osobnych izb, nazwanych pokojami. Do tego trzeba dodać pałacową kaplicę, strzelnicę, ganek przed izbą do rzędów i drugi ganek przed kaplicą, zawierający galerię obrazów. Inwentarz pałacu z 1749 r. zawiera wykaz ponad 160 obrazów i ponad trzystu „kopersztychów”, graficznych odbitek, które były częstym obiektem kolekcjonerskim. Zbiory malarstwa składały się ze scen rodzajowych i portretów, do skarbów należały obrazy Rubensa, van Dycka, Veronese’a, w sumie liczyła około czterystu dzieł. Tomasz Czapski miał swoich nadwornych artystów, na jego zlecenie pracowali m.in. Szymon Czechowicz, Jakub Wessel i Johann Benedykt Hoffmann.

Apartamenty, czyli pokoje tworzące mieszkalną całość dla jednego użytkownika, zawierały przedpokój, sypialnię, garderobę, gabinet lub buduar i sale reprezentacyjne. Poprzedzał je przedpokój (antykamera), pokój przed kamerą, czyli sypialnią. Za sypialnią znajdowały się mniejsze pomieszczenia o prywatnym charakterze, czasem z gabinetem i garderobą. Inwentarz nie wymienia kuchni i jadalni, pierwsza zapewne znajdowała się w innym budynku (skrzydle?), kuchni, zwłaszcza na wsi, były umiejscawiane w bocznej oficynie.

Pałac w Dobrzyniewie należał do rezydencji okazałych, symbolem luksusu były tkaniny obiciowe, pokój bilardowy, galeria malarstwa i biblioteka. W obiciach ścian, pokryciach mebli i draperiach łoża stosowano tę samą tkaninę, adamaszek, aksamit, bombazyt, brokatele, grodetur, kamlot i płótno w odcieniach zieleni, karmazynowej czerwieni i żółci.

W stanie świetności pałac pozostawał przypuszczalnie bardzo krótko, inwentaryzację sporządzono po przegranym przez Tomasza Czapskiego procesie z Janem Klemensem Branickim, niewielką część przedmiotów wywiózł sam Tomasz, kilka innych jego małżonka. Później zapewne wywieziono księgozbiór i dzieła sztuki. W 1769 r. w pobliżu zrujnowanego już pałacu rozegrała się bitwa konfederatów barskich (wojskami konfederatów dowodził generał Paweł Czapski) z Moskalami, skutkiem tych działań było spalenie budowli.

Po śmierci Jana Klemensa Branickiego, swego wieloletniego adwersarza, Tomasz Czapski w 1780 r. zażądał od spadkobierców hetmana zwrotu starostwa w takich granicach, w jakich mu je odebrano, oczekiwał też ekwiwalentu za bibliotekę, cenne ruchomości oraz za spalenie pałacu. Izabela Branicka stwierdziła jednak, że jej zmarły małżonek żadnych ruchomości ani biblioteki nie zabrał, zaś pałac knyszyński spłonął nie za jego, lecz za posesji generała Czapskiego, brata starosty. Kolekcję Tomasza Czapskiego odziedziczyła jego wnuczka Maria Urszula, żona Wincentego Krasińskiego, założyciela Biblioteki Ordynackiej, stały się one zawiązkiem jednej z bardziej znaczących warszawskich instytucji naukowo-badawczych – Biblioteki i Muzeum Ordynacji Krasińskich.

Dzieje pałacu w Dobrzyniewie są ilustracją skutków ogromnych ambicji zwaśnionych magnatów, prowadzących do dramatów i banicji jednego z nich. Z jednej strony dowodzą kulturowego bogactwa Podlasia, na którego ziemiach istniały lub powstawały wspaniałe księgozbiory i kolekcje dzieł sztuki, z drugiej zaś ilustrują procesy historyczne, których ofiarą stało się niemal całe kulturowe dziedzictwo regionu.

Przeszłość naszego regionu, jego niezwykle dramatyczna historia i dzieje zniszczeń, mogą się stać silną inspiracją rozwoju gospodarczego. W zbiorową świadomość coraz silniej – choć być może jeszcze nie w Polsce – wdiera się przekonanie, że zabytek nie jest kosztowną pamiątką przeszłości, lecz ważnym zasobem rozwoju, o randze dzieł nie decyduje wartość materialna, a przynajmniej nie wyłącznie, lecz kontekst historyczny. Błędny jest sąd, wedle którego rola dziedzictwa kulturowego ogranicza się do znaczenia historycznego, naukowego i artystycznego. Jako źródło wiedzy o naszych dziejach, obyczajach i bogatej kulturze, stanowi ono bazę dla budowy tożsamości narodowej, te zaś cechy dziedzictwa, jak również zawarty w nim potencjał rozwojowy, wymaga naszej szczególnej uwagi.

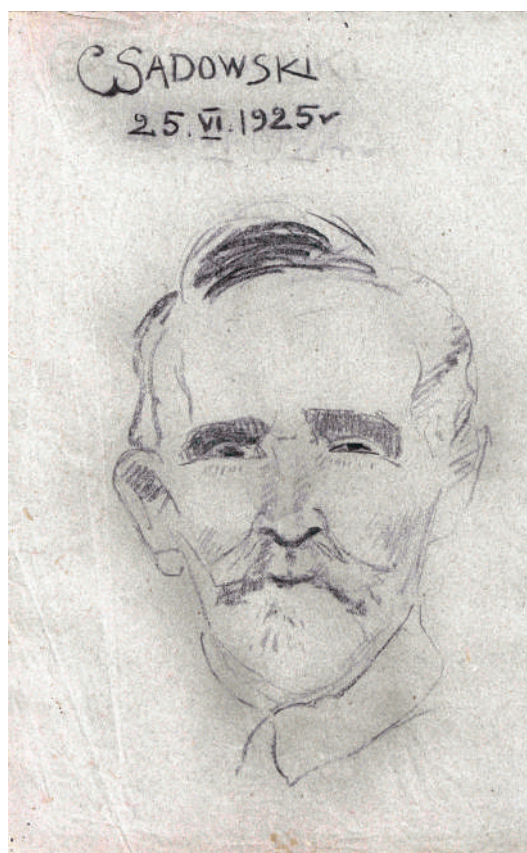
LUDOMIR KOEHLER

Z HISTORII BIAŁOSTOCKIEJ BOHEMY

W środę 26 grudnia 1923 roku oczekiwano w Białymstoku przyjazdu „znanego artysty – malarza Ludwika Ludomira Koehlera, d. profesora Wolnej Akademii we Lwowie, ucznia mistrza palety polskiej Jana Matejki”. Koehler, który urodził się w 1859 roku pod Włoszczową na kielecczyźnie, odbywał studia w kierowanej przez Jana Matejkę Krakowskiej Szkole Sztuk Pięknych w latach 1879 – 80 i 1883 – 87. Po naukach wyjechał do Lwowa. Tu w 1891 roku otworzył atelier fotograficzne. Uczył też rysunku w tamtejszym gimnazjum im. Franciszka Józefa. Później „wichura wojenna” zagnała go na Krym, z którego właśnie w tymże 1923 roku powracał. Wiózł ze sobą ponad 80 obrazów. Jak głosiła wyprzedzająca go wieść, pomimo losu wygnańca, biedy i niedostatku, nie przestał bowiem w latach wojny malować. Były to „portrety, pejzaże z Krymu, Włoch, Norwegii i Wschodu – wśród ich wiele dużych płócien”. Koehler w Białymstoku znał właścicieli gimnazjum koedukacyjnego Józefa Zeligmana, Józefa Lebenhafta i Jakuba Dereczyńskiego, i właśnie w siedzibie ich szkoły, przy Sienkiewicza 4, na poświęteczną środę 26 grudnia, w samo południe, zaplanowany został wernisaż prac artysty. Wstęp na wystawę był płatny, a cały dochód Koehler przeznaczał na pomoc dla biednych uczniów tegoż gimnazjum. Obrazy można było oglądać do 30 grudnia, codziennie od 10.30 do 16. Białostoczanie okazali się hojnymi, jak ich określono w Dzienniku Białostockim, „smakoszami sztuki”. Panowała ogólna opinia, że takiej wystawy „Białystok bodaj nigdy jeszcze nie miał”. Pisano, że dzieła mistrza „przykuwają uwagę i czarują oko”. Mówiono, że Koehler to „mistrz nie lada, a talent jego wszechstronny”. Nic też dziwnego, że po tak entuzjastycznym przyjęciu Koehler postanowił pozostać w Białymstoku. Znalazł wygodne mieszkanie w drewnianym, parterowym domu przy Fabrycznej 23, a w 1924 roku Dziennik Białostocki informował, że „Prof. L. Kochler [pisownia oryginalna] artysta malarz ma obecnie pracownię w gmachu województwa [Pałac Bra-

nickich]. Przyjmuje od godz. 3 do 5”. Rok później ta sama gazeta podała informację, że nowa pracownia Koehlera mieści się przy ulicy Św. Rocha. W niej artysta udzielał lekcji rysunku. Podawano też interesujący szczegół dotyczący artystycznej działalności malarza. Pisano, że „Prócz malarstwa pr. Koehler z zamiłowaniem grywa na cytrze i również udzielić może lekcji gry”. Doświadczenie pedagogiczne i znajomość z właścicielami Gimnazjum Koedukacyjnego pozwoliły Koehlerowi objąć posadę nauczyciela rysunków w szkole przy Sienkiewicza. Z miejsca włączył się też w nurt życia towarzyskiego i artystycznego. Niestety coraz bardziej szwankowało mu zdrowie. Zapowiedziany przez niego na sierpień 1924 roku wykład, który miał inaugurować działalność przygotowywanej przezeń „Wolnej Wszechnicy Sztuk Pięknych w Białymstoku” nie odbył się. Odbyła się natomiast z jego dużym udziałem II Wystawa

■
Andrzej Lechowski



Czesław Sadowski,
Portret Ludomira
Koehlera, 1925 r.
Własność prywatna

Wojewódzka Sztuki. Otwarto ją w niedzielę 5 października 1924 roku w Sali Wojewódzkiej, czyli w pałacu Branickich. Zorganizowana pod patronatem wojewodziny Jadwigi Rembowskiej ściągnęła tłumy publiczności. Sama ekspozycja „imponowała ilością nagromadzonych dzieł”. O pracach Koehlera pisano, że „wystawia bardzo dużo prac niepośledniej wartości. Na specjalne podkreślenie zasługują doskonale uchwycone i oddane pejzaże morskie. Oświetlenie szczytów przez słońce, zachody, ranki i noce muszą zdobyć uznanie dla talentu artysty”. Recenzent podziwiał szczególnie dwa portrety i dwa pejzaże stworzone przez Koehlera zauważając, że tylko „poważne i długie studia i wielki talent artysty mogą tak znakomicie oddać naturę w jej mgławym świetle”. Jednogłośnie uznano, że prace Koehlera pokazane na tej wystawie są „wszystkie pierwszorzędnej wartości artystycznej”. Wystawa była triumfem artysty. Bawił w Białymstoku niecały rok, a uznawano go tu za filar artystycznego środowiska. Na fali tego powodzenia postanowił wiec otworzyć własną szkołę rysunkową. Zakładał, że od początku 1926 roku będzie prowadził „zbiorową naukę rysunku”. Zajęcia odbywać się miały

dwa razy w tygodniu wieczorem i w niedzielę rano. Razem wychodziło tego 7 godzin tygodniowo. Chętnych było dużo. Niestety, ledwo rozpoczęta działalność szkoły wkrótce została przerwana ze względu na coraz gorszy stan zdrowia artysty. W środę 23 czerwca 1926 roku Białystok obiegła smutna wiadomość. „Po dość długich cierpieniach zmarł w szpitalu żydowskim znany w naszym mieście artysta malarz, profesor L. Koehler”. Został pochowany na białostockim cmentarzu farnym.

Minęły kolejne lata gdy 15 kwietnia 1929 roku w pawilonie restauracyjnym białostockiego ogrodu miejskiego otwarta została pośmiertna wystawa artysty. Publiczność z niesłychanym wzruszeniem i ciągle z tym samym zachwytem oglądała ponad 60 obrazów Koehlera. Tu i ówdzie dało się słyszeć głosy, że dzisiejsi młodzi, nowocześni artyści to nie potrafią już tak malować jak robił to Koehler „malarz, który należał do starej krakowskiej szkoły malarzy”. Ogólny zachwyt wzbudzał „Portret szlachcica”. Pisano, że to „perła” wystawy i że wart jest pewnie kilka tysięcy złotych.

Kursy rysunkowe
L. Koehlera w pałacu
Branickich, 1925 r.
L. Koehler stoi
pierwszy od prawej.
Ze zbiorów Muzeum
Podlaskiego
w Białymstoku.



BIAŁYSTOK FABRYCZNY

OBIEKTY ISTNIEJĄCE
ARCHITEKTURY INDUSTRIALNEJ



BIAŁYSTOK FABRYCZNY

wczoraj i dziś w grafikach Elżbiety Gibulskiej

Niewiele osób mieszkających w naszym mieście ma świadomość tego, że według oficjalnych danych, przed wybuchem drugiej wojny światowej w Białymstoku funkcjonowało 180 jednostek fabrycznych. Korzystając z szerokiego zasobu źródeł, od książek, artykułów prasowych i zasobów archiwalnych instytucji historycznych po źródła internetowe, udało mi się dotrzeć do wszystkich 180 obiektów. Materiały graficzne były dostępne niestety tylko do 36 z nich. Informacje na temat fabryk w Białymstoku nie są zbyt obszerne, a aspekt ten ma niebagatelne znaczenie w procesie kształtowania się infrastruktury gospodarki, kultury i tożsamości naszego miasta. Duża ilość obiektów fabrycznych, skupiona była wzdłuż rzeki Białki (ze względu na konieczność wykorzystania wody do procesu produkcji) i torów kolejowych (co umożliwiało łatwy i szybki dostęp do transportu importowanych materiałów i eksportowanych produktów). Pozostawiło to silny odcisk na kształtowaniu się urbanistycznej tkanki miejskiej.

Białystok Fabryczny, to seria grafik o charakterze intermedialnym - łącząca rysu-

nek z grafiką warsztatową. Industrialna specyfika projektu została wyrażona za pomocą klasycznego szkicu i lawowania tuszem. Ten sposób okazał się najlepszym medium warsztatowym precyzyjnie oddającym rygorystyczne zasady rządzące bryłą i detalem architektonicznym. Monochromatyczna tonacja prac pozwala poczuć w pełni nastrój towarzyszący życiu starych fabryk.

Białystok był „brzydkim miastem w Guberni Grodzieńskiej” - jak pisze dr Małgorzata Dolistowska w książce „W poszukiwaniu tożsamości miasta”. Dziś okazuje się być perełką industrialną, miejscem, w którym z murów otaczających budynków można wyczytać bardzo bogatą, choć często trudną historię miasta, a przede wszystkim jego mieszkańców. Wiele z przedstawionych przeze mnie obiektów dostało drugie życie. Zostały odrestaurowane, zrekonstruowane, wkomponowane w nowoczesne projekty bez uszczerbku na ich oryginalnym wyglądzie i zachowaniem unikalnego klimatu. Dzięki tym zabiegom wartościowe zabytki przeżywają po raz kolejny okres swojej świetności.

Elżbieta
Gibulska



FABRYKA TYTONIU „TYTONIÓWKA”

RYŚ HISTORYCZNY

Fabryka Tytoniu mieściła się przy ul. Warszawskiej 39. Działała od 1889 roku. Jej pierwszym właścicielem i założycielem był Fajwel Janowski. Choć przemysł tytoniowy w Białymstoku istniał od 1862 roku w postaci kilku małych i średnich przedsiębiorstw, fabryka przy ulicy Warszawskiej szybko stała się jedyną i bezkonkurencyjną wytwórnią wyrobów tytoniowych w mieście. Oferowała bardzo szeroki asortyment produktów w postaci papierosów, cygar, tytoniu różnego rodzaju, a nawet tabaki. W okresie największego rozwoju manufaktury pracowało w niej ponad pięćset osób. W 1924 roku fabrykę upaństwowiono. Piętnaście lat później już funkcjonowała pod nazwą Państwowej Fabryki Wyrobów Tytoniowych. Po zakończeniu Pierwszej Wojny Światowej zaczęto sprowadzać produkty zagraniczne. Eksporterami tytoniu do białostockiej fabryki były przede wszystkim Turcja i Rosja. Fabryka osiągnęła wysoką produkcję i niesamowitą renomę nie tylko w kraju, ale również za granicą. Ze względu na wysoką jakość produktu jej wyroby znane były niemalże na całym świecie.

OBECNIE

Do dnia dzisiejszego zachowały się dwa składy fabryczne zaadaptowane na mieszkania osiedla Tytoniówka. Powstał wówczas kompleks zupełnie nowych budynków mieszkalnych, a zbytkowa część została poddana renowacji i umiejętnie wkomponowana w bryłę zespołu urbanistycznego. Prace nad obiektem przeprowadzono w latach 2008-2010 według projektu architektów: Janusza Kaczyńskiego i Barbary Miron-Kaczyńskiej. Budynek południowy czterokondygnacyjny, murowany z cegły, o elewacji osiemnastoosiowej, rozczłonkowanej lizenami, osie skrajne zwieńczone trójkątnymi naczółkami, w narożniku znajduje się kolistą klatką schodową. Budynek północny trójkondygnacyjny, elewacja rozczłonkowana lizenami. Fragment ściany szczytowej dawnego budynku administracyjnego fabryki został wpisany w pierzeję ulicy Warszawskiej, a fragment czteroosiowej elewacji bocznej w elewację nowego budynku. Parter przeznaczony jest na cele usługowe i administracyjne, co zwiększa komfort mieszkańców jednego z najbardziej ekskluzywnych osiedli w mieście.

FABRYKA TYTONIU
tusz, monotypia
32 x 43,7 cm
Elżbieta Gibulska 2018



BROWAR DOJLIDY

RYS HISTORYCZNY

BROWAR DOJLIDY ma bogatą tradycję sięgającą czasów Branickich. Najstarsze wzmianki historyczne donoszą, że Izabela z Poniatowskich Branicka, władająca majątkiem po mężu, zleciła przeprowadzenie naprawy browaru (mieszczącego się w miejscu dzisiejszej fabryki sklejek) w 1802 roku. Browar wchodzący w skład dóbr dojlidzkich należał kolejno do rodziny Radziwiłłów, Demblińskich, a następnie do senatora rosyjskiego Aleksandra Kruzeszterna wynajmującego północną część folwarku dojlidzkiego Hasbachowi. Ten z kolei zaadaptował dawny młyn i browar na tkalnie sukna. Ostatecznie majątek został sprzedany przez hrabinę Zofię Rüdiger. Przełom lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych dziewiętnastego wieku przyniósł rozbudowę i rozwój do ogromnego, jak na ówczesne czasy, przedsiębiorstwa, w którego skład urbanistyczny wchodziły: dwa budynki słodowni, lodownie magazynujące piwo, dom dla służby, warzelnia z chłodnią, myjnia naczyń browarnych, stajnia, skład beczek, obora. Po odzyskaniu niepodległości baron Rudolf von Brandstein otrzymał zgodę na odbudowę browaru.

Z końcem lat dwudziestych dojlidzki browar uzyskał siódme miejsce pod względem ilości wytwarzanego produktu stając się jedynym tak prężnie działającym przedsiębiorstwem w branży piwowarstwa we wschodniej części Polski. W czasie II wojny światowej w browarze dojlidzkim piwo warzyli najpierw Rosjanie, a potem Niemcy. Podczas wycofywania się wojsk niemieckich z Białegostoku w roku 1944 r. browar został zniszczony.

OBECNIE

Z browaru pozostały dwa budynki rozewni i dwa pomocnicze. W 1948 roku zniszczony dobytek przejmuje państwo, a sześć lat później zostaje ponownie uruchomiony przez Białostockie Zakłady Piwowarsko-Słodownicze. W 1993 roku firmie został przyznany Złoty Medal na VI Festiwalu Piv Polskich w Łodzi oraz tytuł Piwa Roku. Z końcem 1996 roku browar stał się własnością prywatną. Jego głównym udziałowcem jest frankfurcki koncern piwowarski Radberger Gruppe A.G. Od 1997 roku firma funkcjonuje pod nazwą Browar Dojlidy. Koncern jest liczącym się producentem piwa. W dwóch uznania otrzymuje liczne nagrody za wysoką jakość. W 2018 roku Browar Dojlidy świętował 250 lat swojego istnienia.

BROWAR DOJLIDY
tusz, monotypia
36,7x40,5cm
Elżbieta Gibulska 2018



FABRYKA EUGENIUSZA BECKERA

RYS HISTORYCZNY

Fabryka, wybudowana przez Eugeniusza Beckera w latach 1895-1911, słynęła z wyrobu pluszów jedwabnych eksportowanych głównie na wschód. Ocalała w czasie Pierwszej Wojny Światowej, w okresie międzywojennym odnotowała wysoki wzrost produkcji. W 1939 r. fabrykę przejęły władze radzieckie, następnie okupanci niemieccy. W roku 1944 wojska hitlerowskie zburzyły fabrykę. Pozostał budynek administracyjny i zewnętrzne mury magazynu. W 1945 roku fabrykę znacjonalizowano. Liczne zmiany własnościowe nie spowodowały zmiany jej funkcji. Od roku 2005 zabytek został objęty ochroną konserwatorską, co uniemożliwiło jego przebudowę na potrzeby fabryczne. Skutkiem tego manufaktura przestała istnieć, a zespół budynków zmienił swoją funkcję. Dobrze zachowany i najbardziej rozpoznawalny jest trójkondygnacyjny magazyn licowany czeroną cegłą. Od ulicy Świętojańskiej w zwieńczeniu fasady widnieje data 1895. Tuż nad nią umieszczona jest rzeźba - półkula, a na niej biegnący Merkury - rzymski bóg handlu.

OBECNIE

Od 2008 roku fabryka Beckera pełni funkcję galerii handlowej. Została zaadaptowana na funkcje użytkowe i przebudowana według projektu architekta Macieja Kuryłowicza. Do dzisiejszego dnia zachowały się dwa budynki starego kompleksu: Magazyn wyrobów gotowych i Budynek Merkury. Alfa jest bryłą trójkondygnacyjną o wieloosiowej elewacji z Merkurym w zwieńczeniu fasady. Dawne pomieszczenia stajni i wozowni zostały wcielone do gmachu centrum. Niegdyś była to prężnie działająca fabryka wyznaczająca nowoczesne standardy, będąca jedną z najpotężniejszych przedsiębiorstw białostockich w budownictwie manufakturowym. Obecnie jest największym centrum handlowym w regionie. W zabytkowy gmach budynku zostało wpisane nowoczesne wnętrze. Znajdują się tu sklepy, kawiarnie, restauracje, kino. To miejsce zakupów, wypoczynku i relaksu. Zagospodarowanie zabytku w tak atrakcyjny sposób okazało się świetnym pomysłem na połączenie tradycji i nowoczesności. Ciepły klimat tego miejsca codziennie przyciąga tysiące klientów i młodszych młodych.

FABRYKA BECKERA
tuszu, monotypia,
29 x 41 cm
Elżbieta Gibulska 2018



PODLASKI DOM AUKCYJNY W DZIAŁANIU

05 12 2019

Z trzydziestu prac wystawionych w czasie grudniowej aukcji Podlaskiego Domu Aukcyjnego sprzedano dwadzieścia cztery. Uczestnicy aukcji przeżyli emocje, docenili świetną atmosferę, zawarli ciekawe transakcje. Powstanie nowego kanału dystrybucji dzieł sztuki podlaskich artystów stało się faktem. Nic dziwnego, że po sukcesie pierwszej komercyjnej aukcji dzieł sztuki w Białymstoku, niemal natychmiast zaczęło się mówić o organizacji kolejnej, która miała się odbyć w maju. Z powodu pandemii termin kolejnej akcji został przełożony na jesień 2020 r.

– Spotkałem się z wieloma obawami o to, że nasz rynek sztuki jest zbyt płytki, że to się nie uda, że może nie warto ryzykować – mówi Janusz Żabiuk, szef Podlaskiego Domu Aukcyjnego, pomysłodawca i główny organizator aukcji. – Ale wyszliśmy z założenia, że próbować warto. Zresztą nie ukrywam, że byłem przekonany, że się uda, że Białystok jest już na tyle bogaty zarówno w twórców jak i wielbicieli sztuki, że stać go na to by zafunkcjonowała tu komercyjna aukcja sztuki. Pomyślałem, że jeżeli nawet za pierwszym razem nie wszystko pójdzie zgodnie z planem, będziemy mogli spróbować po raz kolejny.

Żabiuk podkreśla, że aukcja udała się głównie dzięki temu, że bardzo mocno zaangażowało się w nią artystyczne środowisko białostockiego Marchanda. Nawet jeżeli nie wszyscy wierzyli w sukces tej inicjatywy, nikt nie odmówił pomocy organizacyjnej, a nade wszystko dzieł sztuki, które w takich wydarzeniach zawsze odgrywają główną rolę.

– Cieszę się, bo wygląda na to, że wszyscy są zadowoleni. Była dobra atmosfera, zdarzały

się ostre licytacje podbijające cenę wywoławczą dzieł nawet kilkukrotnie, obrazy osiągały bardzo przyzwoite ceny, a o kilka prac walczone naprawdę ostro – ocenia Janusz Żabiuk.

Podobne wrażenia zachowali uczestnicy aukcji, którzy stawili się na niej w liczbie około osiemdziesięciu.

– Uważam, że aukcja była bardzo udana. Świetny prowadzący, dużo zainteresowanych, i było też co wybierać z prac – mówi pan Rafał, który wylicytował jeden z oferowanych obrazów.

– Aukcja to takie połączenie racjonalności z czymś w rodzaju sportu. Pojawia się rywalizacja, trzeba decydować szybko, a potem płacić. Więc ważne żeby się nie zagalopować – dodaje z uśmiechem pan Rafał.

Jest zadowolony ze swojego zakupu. W aukcji brał udział po raz pierwszy ale zapowiada, że kolejne również zamierza obserwować. Zdaniem pana Rafała białostocki rynek sztuki istnieje, rozwija się i ma spory potencjał wzrostu, a to że jest dopiero na początku drogi, to oczywiste.

■
Marcin
Rębacz



– Nie czuję się ekspertem w tej dziedzinie, bo wcześniej w podobnych wydarzeniach nie uczestniczyłem, ale sądzę, że taka aukcja jest ważnym uzupełnieniem białostockiego rynku sztuki, jest krokiem w kierunku tego by ten rynek stał się bardziej dojrzały – mówi pan Rafał. – Osobiście zakupów dzieł sztuki dokonuję z dwóch powodów: po pierwsze chcę kupować rzeczy piękne, ale jest to też dla mnie jakaś forma inwestowania pieniędzy.

Również pan Andrzej w komercyjnej aukcji sztuki uczestniczył po raz pierwszy i jak przyznaje, jest bardzo mile zaskoczony.

– Nie spodziewałem się aż takich emocji i tego, że tak bardzo pomagają one w podejmowaniu decyzji. To jest zupełnie inny sposób dochodzenia do transakcji niż w galerii. Tam człowiek zastanawia się, często odracza decyzję. W czasie aukcji trzeba pokazać zdecydowanie, no i osiągnąć pierwsze miejsce, bo drugie nie jest już premiowane możliwością zakupu – mówi. – Tak naprawdę niewiele wiem o podlaskich artystach, znam ich głównie z albumów Marioli Łotysz. Jednak jakiś czas temu postanowiłem kupić któryś z obrazów Krzysztofa Konieczka i teraz mi się udało.

Dla pana Andrzeja udział w aukcji był rodzajem prezentu rocznicowego od przyjaciół, którzy zaprosili go i współfinansowali zakup obrazu. Aukcja okazała się świetnym połączeniem uroczystości i spotkania towarzyskiego wzbogaconego o dreszczyk wynikający z rywalizacji o obraz.

Również dla pana Krzysztofa grudniowa Podlaska Aukcja Sztuki była pierwszą, w której uczestniczył. Dotychczas obrazy kupował z wolnej ręki. Ma ich kilka, ale na razie nie czuje się kolekcjonerem. Ulubieni autorzy pana Krzysztofa wciąż pozostają poza jego zasięgiem finansowym, tym nie mniej w czasie aukcji udało mu się trafić na coś satysfakcjonującego.

– Aukcja to dobry pomysł – ocenia pan Krzysztof. – To wygodny sposób uczestniczenia w rynku sztuki, daje szansę na szerszy przegląd

oferowanych dzieł, autorów, i dodatkowo wzmacnia to wszystko czymś w rodzaju rywalizacji.

Pan Krzysztof zamierza przyjść na następną aukcję, nie ma specjalnych uwag do sposobu zorganizowania pierwszej, choć widziałby potrzebę lepszego dostępu do informacji o podlaskich autorach i ich dziełach.

Artur Chaciej, znany białostocki artysta plastyk cieszy się z sukcesu Podlaskiej Aukcji Sztuki.

– Pierwsza aukcja i już taka udana – mówi. – To bardzo pozytywne. Okazało się, że warto próbować. Ludzie dostali kolejną możliwość kontaktu ze sztuką, kolejną ofertę, ścieżkę do wartościowej, oryginalnej twórczości. W dzisiejszych czasach, w których reklamuje się głównie zakup marnych reprodukcji w supermarketach, to jest bardzo ważne.

Artur Chaciej, którego praca znalazła nabywcę w czasie aukcji nie ukrywa, że dla niego i innych artystów bardzo ważny jest również aspekt finansowy związany z aukcją.

– Dla mnie to zauważalny zastrzyk pieniędzy. Nie sprzedaję dużo obrazów, więc nie cierpię na nadmiar środków – mówi Chaciej.

Artysta nie obawia się kontaktu z odbiorcą. Przez wiele lat udowadniał, że potrafi wyjść im naprzeciw, osobiście wystawiał swoje prace na Rynku Kościuszki.

– Zapłaciłem urzędowi miasta za miejsce na rynku miejsce i prezentowałem tam swoje obrazy i rysunki, których tematem był Białystok. Prawdę mówiąc liczyłem na to, że nieźle zarobię, że będę sprzedawał codziennie jedną pracę. Zdecydowanie się przeliczyłem. Wytrzymałem 15 lat ale majątku nie zrobiłem – opowiada.

Według Artura Chacieja jego obecność na Rynku Kościuszki nie poszła do końca na marne. Odwiedzali go koledzy, przychodzili porozmawiać, podyskutować. Był czymś w rodzaju środowiskowego łącznika. Być może między innymi dzięki niemu białostocki artyści nie utracili ze sobą kontaktu.

Janusz Żabiuk planując kolejną Podlaską Aukcję Sztuki nie przewiduje znaczących zmian. Ma nadzieję, że imprezę ponownie poprowadzi Ryszard Doliński i że znów sporo prac znajdzie swoich nabywców.

– Liczę na to, że ta impreza potwierdzi swoją jakość i trwałość. Do tej pory Białystok nie miał swojej komercyjnej aukcji sztuki, a powinien ją mieć jeśli naprawdę ma być metropolią – mówi Żabiuk.

Według Żabiuka, dobrze działająca instytucja aukcji sztuki jest jednym ze znaków tego, że w miejscowym środowisku artystycznym dzieje się coś naprawdę ciekawego.

POLSKI RYNEK SZTUKI EKSPLODOWAŁ

W zeszłym roku polski rynek sztuki pobił kolejne rekordy zarówno pod względem liczby zorganizowanych aukcji dzieł, jak i pod względem obrotów. Suma transakcji zbliżyła się do 300 milionów, a odnotowana w statystykach liczba aukcji osiągnęła sumę 337.

„Są to absolutne wyżyny naszego rynku, a jednocześnie demonstracja jego niebywałej siły” – czytamy w raporcie wiodącego portalu rynku sztuki artinfo.pl.

Najnowszy raport Artinfo potwierdza intuicję organizatorów Podlaskiej Aukcji Sztuki, że rynek sztuki w Polsce istnieje i rozwija się na tyle szybko, że jest zdecydowanie zbyt wcześnie, by próbować określać jego docelowe możliwości. W samym 2019 roku kwota transakcji w stosunku do roku poprzedniego wzrosła aż o 17 procent, a o 12 procent wzrosła liczba przeprowadzonych aukcji.

Raport artinfo.pl odnotowuje, że swoją sprzedaż zwiększyły wszystkie domy aukcyjne. Liderem sprzedaży nadal jest warszawska Desa Unicum, która zdecydowanie zdominowała rynek przejmując ponad połowę jego obrotów. Liczące się miejsca na rynku zajmują ponad to Polswiss Art. (ponad 50 milionów złotych obrotu), Agra-Art i Sopocki Dom Aukcyjny, które wypracowały obrót na poziomie 24 i 21,5 milionów złotych. Raport odnotował także osiągnięcia takich domów aukcyjnych jak: Rempex, Libra, Polski Dom Aukcyjny, Art In House, Face to Face Art, Desa sp. z o.o.

Nie sposób nie dostrzec, że na polskim rynku sztuki absolutnie dominuje Warszawa, w której doszło do transakcji w kwocie 265,5 miliona złotych (dokładnie 90 procent) wszystkich transakcji zawartych w Polsce. Drugie trójmiasto uszczknęło z rynku tylko 6,1% obrotów, Kraków musiał zadowolić się 2,5 procentami, obroty w Łodzi i Bydgoszczy w sumie około 1 procenta całego polskiego rynku. Inne polskie miasta w ogóle nie zostały dostrzeżone w raporcie. Być może sytuacja zmieni się po roku 2020, w którym Podlaski Dom Aukcyjny planuje przeprowadzić w Białymstoku przynajmniej dwie aukcje.

Najdroższym, sprzedanym w Polsce dziełem sztuki w minionym roku był zestaw rzeźb Magdaleny Abakanowicz *Caminando* powstały w latach 1998/1999. Za tę pracę Abakanowicz nabywca zapłacił nieco ponad osiem milionów złotych. Na drugim miejscu znalazła się również rzeźba, tym razem autorstwa Antonio Canova, *Tancerka z palcem na brodzie* z początku XIX wieku (5.782.000 złotych). Dopiero na trzecim miejscu uplasował się obraz Jana Matejki *Wit Stwosza jako dziecko* z 1855 roku (3.363.000 złotych). Tylko odrobinę niższe ceny uzyskały prace twórców współczesnych, ale już nieżyjących, takich jak Roman Opałka i Wojciech Fangor.

Wyraźnie niższe kwoty w czasie polskich aukcji uzyskiwały prace artystów zaliczanych do nurtu sztuki młodej i aktualnej. Tu rekordowa kwota transakcji wyniosła 59.000 złotych, osiągnął ją obraz Daniela Pawłowskiego *Cathedra* sprzedany podczas aukcji w Sopockim Domu Aukcyjnym.

Wyraźnie zwykły trend na polskim rynku sztuki nie do końca wpisuje się w to co się dzieje na rynku światowym, który ostatnio również wzrósł o 9 procent, tyle że w czasie dziesięciu lat, a ostatnie dwa lata minęły pod znakiem wyraźnego spowolnienia. Ciekawą analizę tego rynku przedstawił magazyn firmy doradczej Deloitte. Komentatorzy podkreślają, że dzieje się tak pomimo iż majątki grupy osób najbogatszych, z której rekrutują się główni gracze tego rynku, powiększyły się w tym okresie aż dwukrotnie.

Według Deloitte nie oznacza to, że dzieła sztuki przestały być atrakcyjne dla osób majątnych. Czterech na pięciu światowych inwestorów oczekuje, że otrzyma od swoich doradców wskazówki jak dotyczące strategii inwestowania w dzieła sztuki, ale światowy rynek napotkał na kilka barier rozwojowych związanych głównie z brakiem możliwości precyzyjnej oceny ryzyka i uniwersalnych regulacji prawnych. Nie pomaga również to, że obrót dziełami sztuki cechuje stosunkowo niska płynność.



Marcin
Rębacz



SZTUKA, KIEDY CHĆE SIĘ OBRAZ KUPIĆ.

■
Z Barbarą
i Januszem
Gąsowskimi,
kolekcjonerami
sztuki,
rozmawiała
Diana
Nachito.

Zacznijmy od pytania, kiedy zaczęli Państwo interesować się sztuką?

Barbara Gąsowska: Sztuką interesowałam się od dzieciństwa, ale przez długi czas była to pasja nierealizowana.

Czy Państwa praca zawodowa w jakikolwiek sposób była związana z zainteresowaniami artystycznymi?

Janusz Gąsowski: Basia prowadziła jedną z pierwszych w Białymstoku agencji pośrednictwa handlu nieruchomościami. Ja jestem emerytowanym radcą prawnym. Nasze profesje nie były więc związane ze sztuką. Ale przyszedł taki czas, że chcieliśmy wejść w świat sztuki.

Kiedy i jak się to stało?

J.G.: Wpłynęło na to wiele czynników, m.in. finanse. Kiedyś zamiast zamówić u stolarza kredens do salonu mieliśmy kupić obraz Władysława Lema. Był to pejzaż i chyba z uwagi na temat nie kupiliśmy. W jakimś stopniu miała też udział nasza córka Marta, wówczas gimnazjalistka. Pewnego dnia przyszła do domu i powiedziała, że w Galerii Akcent widziała fajny obraz. Chciała, żebyśmy go kupili. Nie zrobiliśmy tego, czego później żałowaliśmy.

Jaki to był obraz?

B.G.: „Kot na dachu nocą”. Wiąże się z tym ciekawa anegdota. Byliśmy w 2004 roku na wy-

stawie „Biały Salon” w Galerii Arsenał, gdzie prezentowano prace m.in. Teresy Adamowskiej z Łomży. Spodobał nam się jeden z obrazów. Zajrzeliśmy do folderu z jej pracami i zobaczyliśmy wśród nich obraz „Kota na dachu nocą”, którego wypatrzyła nasza córka. Okazało się, że zaopiekował się nim odbiorca z Francji. A obraz z „Białego Salonu”, który nam się wtedy spodobał zdobi nasze wnętrze.

Pamiętają Państwo pierwszy zakupiony obraz lub dzieło sztuki?

J.G.: Tak, był to rysunek przedstawiający Chasydów w religijnym tańcu autorstwa Józefa Charytona, który nabyliśmy w białostockiej DESIE. Chociaż, właściwie pierwsze obrazy, które się u nas pojawiły to były dwie reprodukcje obrazów Marca Chagalla, charakterystyczne dla jego twórczości. Kupiliśmy je w Warszawie przy okazji wystawy jego rysunków do „Martwych dusz” Gogola.

B.G.: Jeszcze wcześniej, na 40. urodziny dostałam od męża i syna obraz olejny Mnicha „Nad stawem”. Pamiętam też, że Janusz, przy okazji wymiany książek, którymi się pasjonuje, z Jarmarku Dominikańskiego w Gdańsku w połowie lat 80-tych przywiózł akwarele pejzażowe. Już wtedy coś nam w duszy grało.

Chagall to Państwa wspólna miłość?

B.G.: Tak. Z reprodukcjami jego obrazów też wiąże się pewna historia. Zaczęto się od naszej pierwszej zagranicznej wyprawy po wielką sztukę do Berlina w 2004 roku. Postanowiliśmy, że pojedziemy na „Das MoMa in Berlin”.

J.G.: Do Berlina przywieziono wówczas bardzo dużo obiektów z MoMa w Nowym Jorku. Po bilety staliśmy 4 godziny, ale było warto.

B.G.: Spacerując w Berlinie po Unter den Linden zaczął padać deszcz, więc zaszliśmy do kawiarni przy Placu Paryskim. Przez „deszczową” szybę przed Bramą Brandenburską ujrzeliśmy napis Marc Chagall. I tam obejrzelśmy jego obrazy.

Nieprzypadkowo pokochali Państwo Kazimierz Dolny...

B.G.: To był 2004 rok. Marzyłam o portrecie w stylu impresjonistów. Wiedzieliśmy, że Kazimierz jest kolebką artystyczną. Pojechaliśmy tam i przeszliśmy przez wszystkie galerie. Na końcu ulicy Lubelskiej wewnątrz jednej galerii nad drzwiami wisiał portret kobiety, który mi się bardzo spodobał. Był to autoportret Beaty Matusiak. Spotkaliśmy się z artystką i Janusz zamówił u niej mój portret. Beata została naszą przyjaciółką. Jest świetną artystką. Ukończyła malarstwo i grafikę na Akademii Sztuk Pięknych w Łodzi. Mamy kolekcję jej prac: portrety, akty, wnętrza pracowni, pastele z architekturą Kazimierza oraz grafikę i rysunki. Beata jest także cudowną osobą.

J.G.: Tak. Beata pokazała nam też obrazy niezwykle utalentowanego artysty, zmarłego 20 lat temu, jej przyjaciela Wojciecha Kosowskiego, który mieszkał i tworzył w Kazimierzu. Ukończył malarstwo na ASP w Warszawie. Jako malarz, w szczególności, skupiał się na architekturze Kazimierza i jego okolic. Posiadamy kolekcję jego prac o różnej tematyce, nie tylko kazimierskiej.

Co jest przyjemnego w posiadaniu obrazów?

B.G.: No właśnie... Trudno powiedzieć. Jest takie uczucie, że marzenie się spełniło, ale także radość, że otaczamy się tym co piękne.

J.G.: Dobrze pamiętam, jak było z rysunkiem Charytona. Patrzyłaś na ten rysunek i z jaką ekscytacją o nim mówiłaś przez telefon. Sztuka jest rzeczą trudno definiowalną, ale ten obraz jest dziełem sztuki. Bez wątpienia, Józef Charyton, który mieszkał w Siemiatyczach w dziedzinie rysunku jest najlepszy na Podlasiu. Kiedyś w albumie „Sto arcydzieł rysunku włoskiego z Muzeum w Rennes” przeczytałem, że rysunek jest najbardziej przekonującą manifestacją talentu. Artysta nic nie ukryje, bo tworzenie rysunku jest spontaniczne.



Jakim doświadczeniem jest udział w aukcjach?

B.G.: Na pierwszej aukcji, w której wzięliśmy udział w Warszawie w Desie, kupiliśmy trochę rzemiosła artystycznego, m.in.: artdecoową karafkę z kieliszkami i sztucce. To znowu był 2004 rok. DESA też wtedy zaczynała.

J.G.: Nie czuliśmy presji, że musimy nabyć coś z malarstwa. Nawet ładny i niedrogi obraz I. Zygmunto-wicza nas nie zainteresował. Były też obrazy Juliusza i Wojciecha Kossaków. Świadomość tego, jak dużo stworzyli obrazów, stanowi barierę psychologiczną przed ich zakupem.

Czy przygotowują się Państwo do aukcji?

B.G.: Zaczynaliśmy w czasach, kiedy nie było jeszcze katalogów internetowych tylko papierowe, które do dzisiaj do nas docierają.

Na jak długo przed aukcją otrzymują Państwo katalogi?

B.G.: Mniej więcej na 2 tygodnie przed aukcją. Przeglądamy je. Wybieramy obiekty, które nas interesują. Przed aukcją je oglądamy.

Wydaje się, że to niedługo. Trzeba wiedzieć, czego się chce.

J.G.: Warto pamiętać, że aukcje to nie tylko okazja do kupna, ale i prezentacji sztuki. Oprócz tego, że bierzemy udział w aukcji, to mamy możliwość zobaczenia dzieł, których nie można zobaczyć w muzeum.

B.G.: Często nie mamy możliwości kupienia tego, co nam się podoba, bo ceny są bardzo wysokie. Mamy jednak przyjemność oglądania obrazu, który może nie być prezentowany przez najbliższych kilkadziesiąt lat, bo trafi do prywatnej kolekcji.

Co zrobiło na Państwu największe wrażenie?

B.G.: „Macierzyństwo” Wyspiańskiego.

Duże emocje...

J.G.: Tak, w 2017 widzieliśmy obraz na aukcji. Chcieliśmy go zobaczyć, ale też poczuć specyficzne emocje. Kilka lat wcześniej „Macierzyństwo” zostało kupione za 1,6 mln zł, a później sprzedane za 3,7 mln zł. Na aukcji w 2019 roku zostały pobite rekordy cenowe w Polsce. Najpierw licytowano marmurową rzeźbę pełnopostaciowej „Tancerki z palcem na brodzie” Antonio Canovy. Pracę wylicytowano za 5.700.000 zł. Chwilę później licytowano „Amirando” Magdaleny Abakanowicz. Nabywca za tę pracę zapłacił ponad 8 mln zł. Wysokie ceny uzyskują prace Wojciecha Fangora, np. „M39” – 4 mln zł. Te ceny uzyskano na aukcjach w Desa Unicum.

B.G.: Sztuce w ogóle towarzyszyć mogą ogromne emocje. Poznaliśmy kiedyś Pana, którego marzeniem był obraz Andrzeja Wróblewskiego „Chłopiec na żółtym tle”. Sprzedał wszystko, co miał w domu, wszystkie obrazy, a nawet mieszkanie, żeby go kupić. W pewnym momencie dowiedzieliśmy się, że sprzedał obraz Wróblewskiego, swoją miłość. Zastanawialiśmy się, co się mogło zdarzyć, co skłoniło go do tak radykalnych kroków?

Czy emocje z aukcji można porównać do czegokolwiek?

J.G.: Mogę je porównać do emocji, jakie są na aukcjach bibliofilskich, gdzie są niezwykle egzemplarze, starodruki, przepiękne wydania, oprawy, pamiątki historyczne i patriotyczne, jakich nie zobaczy się nigdzie indziej.

Opisują Państwo swoje kolekcje?

B.G.: Wszystko jest opisane. Wszystko ma certyfikat. Każdy obraz ma założoną tek-

turową teczkę. Jest w niej zdjęcie i opis, informacje o tym kiedy został kupiony, za ile. Są też informacje o artyście. Dokumentację wzbogacamy folderami, artykułami z gazet i literaturą fachową.

Na czym właściwie polega tworzenie kolekcji?

J.G.: Jak kupowaliśmy obraz, który nam się podobał, to rozglądaliśmy się za kolejnym tego artysty. „Kolekcja” to fajnie brzmi. U nas tworzenie kolekcji odbywa się w sposób naturalny. Nie definiujemy celu. Uważam, że jest dobrze, jeśli kupuje się to, co się podoba, a później tworzy kolekcję. Jest to wariant optymalny.

B.G.: Można powiedzieć, że nie kupowaliśmy obrazów ze względu na potrzebę tworzenia kolekcji, ale dlatego, że uważaliśmy je za piękne. To ludzkie i naturalne, że jak się coś ma, to chce się więcej. Z tego są same pozytywne: człowiek się rozwija, artysta na tym zarabia.

A strona finansowa? Czy myślą Państwo o kolekcjonerstwie z perspektywy finansowej?

J.G.: Na sztuce można zarobić, wydaje mi się, że nawet w perspektywie kilku lat. Nasze zainteresowanie sztuką nazwałbym amatorskim, bo nie kupujemy obiektów z myślą, żeby na nich zarobić. Po prostu muszą się nam podobać.

Nie zdarzyło się Państwu przekroczyć granic zdrowego rozsądku?

J.G.: Chyba nie było takiej sytuacji.

Czy zdarzyło się, że coś Państwo sprzedali?

J.G.: Tak, ale to był przypadek.

Czy w ruchu jest też domowa galeria sztuki? Czy ekspozycje mają żywy, czy raczej stały charakter?

B.G.: Ekspozycja trochę żyje, ale nie za bardzo, bo mamy małe mieszkanie.

Czy jest rodzaj sztuki, który się Państwu nie podoba?

B.G.: Janusz kupił kiedyś pracę Nikifora Krynickiego. Oddaliśmy ją, bo nie lubię prymitywizmu.

J.G.: Z kolei bardzo cenimy regionalną twórczość i białostockie pamiątki. Na jednym z wykładów, Joanna Tomalska interesująco opowiadała o twórczości Simona Segala i Ben-cjona Rabinowicza. Bardzo zaciekała nas twórczość Rabinowicza, zapragnęliśmy nabyć jego pracę. Kiedy DESA Unicum wystawiła na aukcji jeden z jego obrazów, wylicytowaliśmy go. Następnego dnia okazało się jednak, że, w ramach pierwokupu, zakupiło go muzeum.

Miłość do Podlasia dzieli Państwo z miłością do Kazimierza?

B.G.: Od lat uwielbiamy wyjazdy na Fe-



stiwal Filmu i Sztuki Dwa Brzegi w Kazimierzu. Niemal wszystkie prezentowane tam filmy nam się podobają. Lubimy spotkania z ludźmi świata filmu, pisarzami i z dziennikarzami. Są też oczywiście wędrowniki po galeriach, wernisaże, spotkania z ludźmi. To jest coś wspaniałego: coroczne święto i doładowanie niemal na cały rok.

J.G.: To niesamowite, jak dużo dla tego festiwalu robi Grażyna Torbicka.

B.G.: Na jej zaproszenie do Kazimierza chętnie przyjeżdżają reżyserzy, operatorzy, aktorzy. Wspaniała jest także frekwencja. Tłumy przyciągają nie tylko wydarzenia festiwalowe, ale i galerie. Artyści przygotowują wystawy na ten czas. Można powiedzieć, że wernisaż trwa przez całe 8 dni.

Czy Podlasie ma taki potencjał?

B.G.: Każde miejsce może mieć potencjał. Chodzi o to, aby znalazł się ktoś z charyzmą, kto nim pokieruje. Najlepiej, gdyby nie działał sam, ale z grupą pasjonatów.

J.G.: Z podlaskich twórców bardzo ceniśmy Wiktoria Tołłczko-Tur. Maluje cudowne akwarele. Mamy sporo jej obrazów w naszej kolekcji. Jesteśmy na każdej wystawie artystki. Klasą na skalę światową jest Leon Tarasewicz. Jego malarstwo jest niealuzyjne. Nie ma w nim legendy, jest za to intuicja i czysta sztuka. Moim zdaniem, największą zaletą tego malarza jest to, że ma niezwykle wyczucie koloru i przestrzeni. Jest artystą konceptualnym. Jego prace często trafiają na aukcje i osiągają bardzo wysokie ceny. Warto śledzić jego artystyczną drogę.

Jak, Państwa zdaniem, artysta ma szansę dotrzeć do nabywców? Zwłaszcza, młody artysta?

B.G.: W naszym przypadku, zakup dzieła sztuki łączy się z emocjami, a czasami również ze znajomością twórcy. Jeśli chodzi o kontakty z kolekcjonerami, to najbardziej skuteczna może być współpraca artystów z galeriami. Zdarza się, że nowoczesne placówki znajdują sposoby na przełamywanie barier ekonomicznych związanych z zakupem dzieł sztuki. Słyszałam o możliwości zakupu obrazów na raty. Ludzie otwierają się na to.

J.G.: Rzeczywiście, najlepsi artyści współpracują z galeriami. Podobnie, jak na rynku nieruchomości, funkcjonuje tu kategoria wyłączności. Na przykład Leon Tarasewicz współpracuje z Galerią Foksal, a opiekę nad pracami Jerzego Nowosielskiego sprawuje krakowska Galeria Starmach. Szansą na kontakty artystów z nabywcami są też aukcje.

Jak oceniają Państwo ubiegłoroczną, pierwszą Podlaską Aukcję Sztuki? Czy atmosfera była porównywalna do tej w DESA Unicum?

B.G.: Atmosfera była inna, ale pełna emocji.

J.G.: W innych aukcjach zwykle uczestniczą pełnomocnicy. Nie okazują emocji, po prostu konsultują się z nabywcami przez telefon. Najwięksi kolekcjonerzy w ogóle się nie pojawiają, albo zdarza się to bardzo rzadko. W Białymstoku była atmosfera! Problem podlaskich artystów jest to, że chociaż malują ładne obrazy, trudno im się przebić poza lokalne ograniczenia. To, co robi Podlaski Dom Aukcyjny jest szansą dla podlaskiego malarstwa i malarzy, żeby pójść dalej.

B.G.: Problemem nie są artyści, problemem są mieszkańcy. Większość białostoczan nie jest ukierunkowana na sztukę. Szkoda, że liceum plastyczne znajduje się w Supraślu, a nie w Białymstoku. Środowisko skupione wokół szkoły miałooby szansę zintegrować się z miastem i pozytywnie na niego oddziaływać.

Co decyduje o tym, że chce się kupić obraz?

J.G.: W tym właśnie jest sedno. Nie sztuka przyjąć do galerii i popatrzeć na obraz. Sztuka, kiedy chce się obraz kupić. To jest najważniejszy wskaźnik wartości pracy artysty. Żaden inny.

B.G.: Myślę, że dobrym przykładem będzie nasz kontakt z pracami Kaspra Pochwalskiego, najzdolniejszego ucznia Józefa Mehoffera. Jednym z moich marzeń było posiadanie obrazu z okresu Młodej Polski. Uwielbiam melancholijną młodopolską atmosferę. Będąc w Krakowie weszliśmy do renomowanej galerii, która była kiedyś na ulicy Floriańskiej. Powiedziałam, że chcę kupić obraz młodopolski. Pracownicy galerii wyciągnęli z szuflady nieoprawione jeszcze obrazy, które dostali od rodziny Pochwalskiego. Bardzo spodobał mi się akt. Wybraliśmy go spośród kilkudziesięciu innych obrazów. Czasem się czuje, że obraz oddziałuje na odbiorcę. Tak też się stało, kiedy po raz kolejny byliśmy w tej galerii. Wchodzimy, a tam portret kobiety w kapeluszu. Spojrzałam na Janusza i myślę sobie, dlaczego on tego nie widzi, przecież to jest takie niesamowite. Chwilę później mąż szepnął mi, że trzeba potargować cenę. Oczywiście, kupiliśmy ten portret.

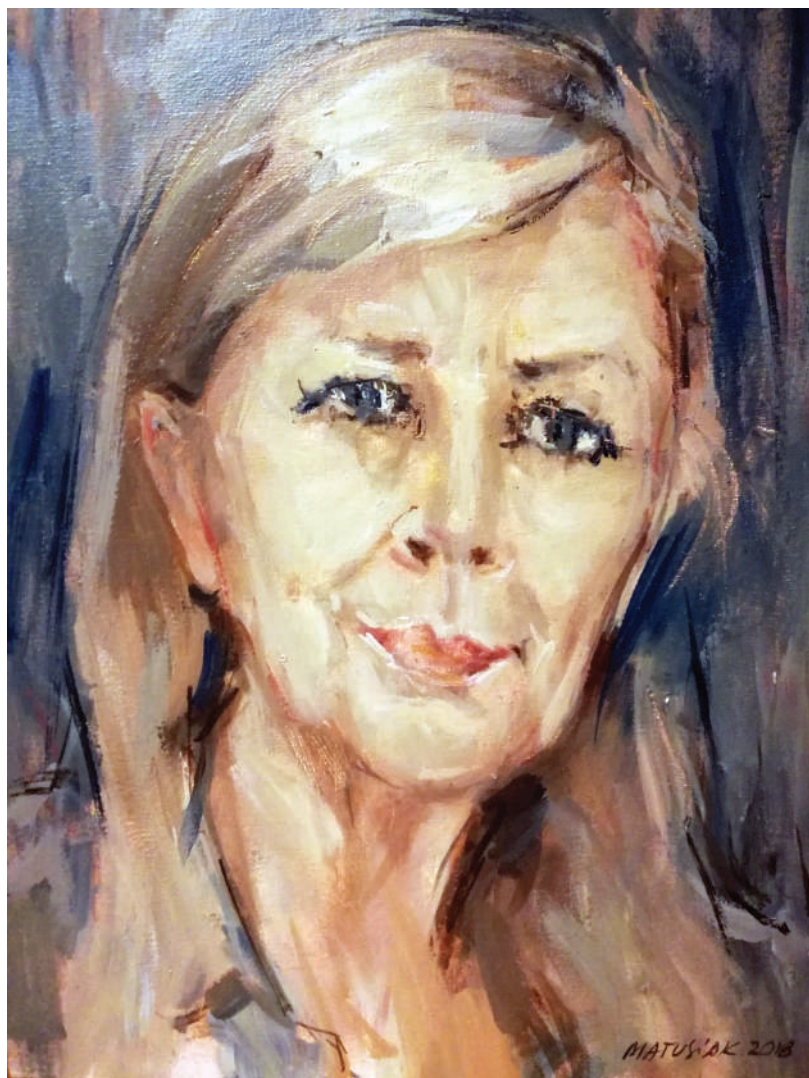
J.G.: Później kupiliśmy też pejzaż Paryża autorstwa Pochwalskiego. Wszystkim się podoba, a najbardziej Marcie. Córka ma wdech do sztuki.

Można przypuszczać, że to po rodzicach... Zapytam o Państwa marzenia. Co chcieliby Państwo mieć w swojej kolekcji? Czyje prace?

B.G.: Są takie dzieła klasy światowej – nieosiągalne.

J.G.: Gdybyśmy mieli nieograniczone możliwości finansowe, byłyby to z pewnością obrazy naszego ulubionego Toulouse Lautrec'a. I oczywiście – Paula Cezanne'a.

B.G.: Podczas pobytu w sali z obrazami Cezanne'a przeżyłam coś niewyobrażalnie silnego. Później była ekspozycja Vincenta van Gogha. O mało tego nie przeżyłam (śmiech). Nie spodziewałam się, że sztuka może wywołać aż takie emocje.



J.G.: Basia, gdyby mogła, cały czas jeździłaby do Paryża, żeby mieć kontakt ze sztuką.

Odwiedzają Państwo nie tylko galerie zachodnioeuropejskie, ale też Lwów i Wilno.

B.G.: We Lwowie skupiliśmy się na polskich obrazach. Spodobało nam się kilka rzeczy. Galeria w Wilnie jest znacznie mniejsza. To są raczej małe muzea i dosyć skromne.

J.G.: Jeśli chodzi o muzea rosyjskie, to nie dotarliśmy niestety do Moskwy. Dawno temu zwiedzałem Ermitaż. Jeśli chodzi o kraje postsocjalistyczne, to najwięcej wartościowych obiektów jest w Rosji. Jest tam bogata kolekcja Picasso. Dla mnie absolutnym numerem jeden

jest Rembrandt. Jak zobaczyłem jego „Żydowską narzeczoną”, po prostu mną wstrząsnęło. Nie spodziewałem się tak silnego wrażenia. Godzinami mógłbym też patrzeć na „Straż nocną” Rembrandta.

Czy mają Państwo poczucie mecenatu kultury?

B.G.: Tak, to prawda. Mamy. Bardzo to lubię.

A poczucie uczestnictwa w środowisku kolekcjonerów?

J.G.: Nie, nie mamy takiego poczucia.

Do jakiego muzeum, czy galerii chcieliby Państwo pojechać?

B.G.: Do Prado.

J.G.: Dodatkowo: Paryż i Londyn.

B.G.: Dodałabym jeszcze Włochy. W każdym miasteczku znalazłoby się coś ciekawego. Kiedyś w Neapolu chciałyśmy z córką obejrzeć obraz Artemisi Gentileschi „Judyta zabijająca Holofernesa”. To świetna malarka z XVII wieku. Wspięłyśmy się do Muzeum Capodimonte, ale sala z jej obrazem tego dnia nie była dostępna do zwiedzania. Teraz, generalnie, świat odkrywa kobiety malarki, które kiedyś malowały, ale nie były doceniane.

Które artystki cenią Państwo szczególnie?

B.G.: Olgę Boznańską, Melę Muter, Suzanne Valadon, Berthę Morisot. Jest jeszcze Anna Bilińska-Bohdanowicz, której „Peonie” znajdują się w naszym Muzeum Podlaskim, a którą niedawno poznałam. Muzeum Narodowe w Warszawie jesienią przygotowuje jej monograficzną wystawę.

J.G.: Ja także lubię Olgę Boznańską, ale też Tamarę Łempicką. Świetne obrazy malowała Maria Jarema, które są dopiero odkrywane.

Mają Państwo takie poczucie, że życie przed kolekcjonerstwem i to, które jest teraz, to zupełnie różne światy?

B.G.: Zdecydowanie. Teraz dużo więcej się czytam o sztuce, przeglądam albumy. No, a przede wszystkim wokół siebie czuję dużo sztuki.

J.G.: To bardzo rozwija. Osoba związana ze sztuką musi się rozwijać. Inaczej się widzi świat, zupełnie inaczej odbiera ludzi. Zmienia się postrzeganie rzeczywistości. Odnajdujemy piękno w rzeczach nieefektywnych. Widzimy i czujemy piękno.

B.G.: Tak. To zupełnie inny świat. Czasem patrzymy się na rzeczywistość, jak na obraz. Malarsko. Za każdą osobą widzi się coś więcej, niż na pierwszy rzut oka.

Dziękuję za rozmowę.



KRADZIEŻE I ZNISZCZENIA

Edward Dwurnik,
Bátowice, 2009, olej
na płótnie, Kolekcja
MOCAK

Galeria Arsenál 21.02-9.04.2020

„Kradzieże i zniszczenia” – najnowsza ekspozycja przygotowana przez Galerię Arsenál to niezwykle ambitny pokaz, w której, choć nie do końca wykorzystano w niej potencjał tematu, bez wątpienia pretendować może do miana najważniejszej wystawy w tym roku.

Współczesne przejawy ikonoklazmu, drugie życie zdewastowanych dzieł, strategie zawłaszczania przez jednych twórców własności intelektualnej i niejednokrotnie materialnej innych artystów, mniej i bardziej burzliwe relacje pomiędzy tradycją artystyczną a ruchami nowatorskimi, instytucjonalizowanie sztuki (nierzadko poprzez jej upolitycznianie)

a w konsekwencji pytanie o status dzieła w tych procederach, to jedne z wielu problemów aktualnego świata sztuki, jak i stosunku współczesnego człowieka do obrazu. Powyższe kwestie, to jedne z głównych problemów poruszanych przez kuratora, Michała Łukaszuka, który stworzył pokaz niezwykle intrygujący, ale i powierzchownie ukazujący część z wymienionych problemów.

Powyższe zagadnienia kurator skupia wokół dwóch, tytułowych pojęć, a zaprezentowane na wystawie prace, mają służyć ukazaniu procederów kradzieży i zniszczeń. Tym samym, wystawa mocny akcent kładzie na kwestie dokumentalne. Z kolei punktem wyjścia kuratora jest pytanie z pogranicza filozofii i antropologii obrazu, a brzmi ono: „czego chcą od nas obrazy?”. Łukaszuk zaczerpnął je z głośnej książki amerykańskiego historyka i antropologa sztuki W.J.T. Mitchella o analogicznym do powyższego pytania tytule. Na tej podstawie stara się poprzez zaprezentowane w galerii prace przeanalizować status przedmiotu jakim jest dzieło sztuki pod kątem zawłaszczania sobie jego aury poprzez różnorodne próby i strategie ideologiczne, polityczne i ekonomiczne. Jednak odniesienia do Mitchella wydaje się być atrakcyjną intelektualną podbudową kuratorskiego wywodu nie mającą realnego przełożenia na to, co na wystawie możemy zobaczyć. Amerykański antropolog sztuki przypisuje obrazom osobowość, odwracając utrwalony przedmiotowy porządek obrazu, propagując porządek przedmiotowy, w którym obrazy mają emocje, roszczenia. Natomiast pokaz przygotowany przez Michała Łukaszuka zdaje się utrzymywać

■
Sebastian
Kochaniec



Widok na fragment
wystawy

ów przedmiotowy charakter obrazu. W kuratorskim wywodzie brakuje też podstawowej antropologicznej refleksji nad samym obrazem (być może kwestie te zostaną podjęte na zapowiedzianych wykładach). Zostawmy jednak akademickie dywagacje, choć trzeba przyznać, że coraz częściej recenzowanie wystaw sprowadza się do dyskusji z kuratorskim zamysłem niż artystyczną wizją artystów. To jednak temat na inną dyskusję.

Tym, co na pierwszy rzut oka można powiedzieć o wystawie, to że jest niezwykle ambitnym projektem. Od jakiegoś już czasu można zaobserwować, że duże i liczące się na scenie ogólnokrajowej instytucje wystawiennicze, do których bezapelacyjnie zalicza się Galeria Arsenał, traktują każdą kolejną ekspozycję jak sproblematyzowaną sesję konferencyjną. Wystawy są jedynie jednym z punktów odniesienia dla szeroko zakrojonego programu spotkań i dyskusji. I tak „Kradzieżom i zniszczeniom” towarzyszą różnorodne spotkania, warsztaty, pokazy filmów, wykłady. W skutek tego wystawa przez cały okres jej trwania jest niezwykle aktywnym wydarzeniem, a każde towarzyszące jej spotkanie może przynieść świeże spojrzenie na poruszaną problematykę.

Nie dziwi, że na tak ekspansywną intelektualnie ekspozycję składa się aż 37 różnorodnych pod kątem przyjętej przez artystę strategii twórczej prac, które zostały wyeksponowane – dosłownie – od piwnicy po główne sale wystawiennicze. Zagościły nawet w przestrzeni przed galerią, gdzie wystawiono – moim zdaniem jedno z ikonicznych dla wystawy dzieł – „Hommage a Kazimierz Malewicz” Ewy Par-

tum z 2004 roku, które polega na wkomponowaniu w uliczny znak drogowy najstojniejszego wyobrażenia sztuki XX wieku jakim jest „Czarny kwadrat na białym tle” Malewicza. Warto wspomnieć, że praca Partum pochodzi z Kolekcji II Galerii Arsenał, która ma na wystawie swoje mocne akcenty. Na ekspozycji odnajdziemy aż 13 dzieł pochodzących ze stale rozwijanego przez Monikę Szewczyk zbioru. Niektóre z nich zostały bardzo umiejętnie wkomponowane w problematykę wystawy. Wymownie prezentuje się np. hiperrealistyczna rzeźba Macieja Kuraka pt. „Kto stoi za obrazem?” z 2007 r., wyeksponowana obok dużego płótna Edwarda Dwórnicka, który śmiało pogrywał sobie z innymi artystami przemalowując ich prace na własny użytek.

Jednak to wszystko, o czym wspominałem powyżej, to jedynie pewne warte uwagi akcenty. Przy bliższym poznaniu z wystawą, stopniowo ujawniają się bowiem niekonsekwencje, które ukazują, że ambicje nieco przerosły kuratora, który przekombinował z karnawałem znaczeń i kontekstów.

Przed wszystkim wystawę odbiera się bardzo chaotycznie, a próby szukania na niej przewodniej narracji ukazują jedynie rażące niespójności. Wchodząc na ekspozycję nie wiadomo za bardzo od czego zacząć. Mniej wprawdzie odbiorcy nie pomoże też brak podpisów i chociaż krótkich kontekstualnych opisów dzieł. Niektóre zawierają, co prawda kuratorski tekst, a tytuły możemy znaleźć na załączonej do wystawy mapie z umiejscowieniem prac. Zastanawiam się jednak, czy obcowanie z wystawą polegać ma na próbach przestudiowania czterostronicowego tekstu, którego czcionka sprawia, że zlewa się on w jeden wielki obraz? Do tego dochodzi rozkładówka w formacie A3 ze wspomnianą mapą prac. Z tym wszystkim przemierzamy wystawę jak rasowy turysta, częściej zaglądając w przewodnik niż skupiając się na tym, co mamy przed sobą. Próba przestudiowania materiałów do wystawy może też otrzeć się o irytację wywołaną zbyt głośnymi i źle zbalansowanymi dźwiękami z wyświetlanych projekcji, które nakładają się na siebie i po czasie zwyczajnie wkurzają...

W rezultacie więc, choć ekspozycja całościowo jest godna polecenia, a większość prac, w ich autonomicznym ujęciu jest warta uwagi, to pod kątem analizy problemów, które porusza, może pozostawić widza z poczuciem lekkiego niedosytu. Dlatego „Kradzieże i zniszczenia” to wystawa, która nie do końca wykorzystuje potencjał tematu i w moim przekonaniu bardziej ilustruje problem, niż skłania do jego przemyslenia.



Maciej Kurak, Czy ważne jest kto chowa się za obrazem?, 2007, instalacja rzeźbiarska, Kolekcja II Galerii Arsenał



GRUPA TWÓRCZA **BOCHEMIA**

WYSTAWA „WIĘŹ”

W Muzeum w Ratuszu wystawa „Kosakowie - Juliusz i Wojciech”, ale wcześniej zaproszony, wybrałem wystawę żywych w tzw. Spodkach białostockich, grupy twórczej „Bochemia”. Nie mogłem odmówić Edycie Carmen N. i Irminie K., które mnie zaprosiły. „Więzi”, to tytuł artystycznego zamierzenia, a także wymowne motto grupy artystów. Jako, że sam całe życie nie wiązałem się w żadne artystyczne bractwa i koterie, byłem bardzo ciekaw jak przebiega twórczość w takim zgromadzeniu. Wystarczyło spytać Adama Ślefarskiego, który witał przybyłych, o co chodzi z tą „Bochemią”, i na bardziej wiarygodne źródło informacji nie mogłem trafić. On ci to sam był opiekunem i kreatorem wspólnych działań, nie tylko malarskich, grupy artystów. Na ekranie właśnie wyświetlano film jego autorstwa o działalności grupy, o więzi łączącej ludzi, dla których sztuka i malowanie są sensem ich życia. Na filmie widać mozół tworzenia, szukanie poprawności

w układzie rąk rysowanych węglem, symboliczne wspinanie się artystów na wzgórze, mające być zwieńczeniem tego swoistego parnasu malarzy! Ale bogać tam, jest co oglądać, a obrazy przemawiają kolorami i osobistą treścią każdego z twórców. Bo jak twierdzi Dana Grodzka - „jak komuś świat wydaje się zbyt szary, to farby nie są aż tak drogie... A jak już namalujesz świat po swojemu, to łatwiej znieść ten szary...” I rzeczywiście, jej obrazy kipią kolorami, emocją i wolnością, bo tak malują ludzie, którzy już niczego się nie boją! A obrazy Irminy Kucharskiej, której osobiście zawsze się lękałem ze względu na jej temperament nieobliczalny, teraz emanują niezwykłym księżycowym nie tyle erotyzmem co darem bliskości drugiego człowieka. To miłość! Podobnie jak na jej gorzącym purpurą obrazie o dwóch filiżankach. Tylko spokojny na obrazie jest bieżnik, leżący na podłodze, reszta czeka cierpliwie na rozwój wydarzeń. Jakże piękny jest obraz Krzysztofa

■
tekst
subiektywny
Artur
Chaciej



Chyżego, niezwykle sentymentalny, z irytująco kobaltowym niebem, ukazujący scenkę w stylu retro..., a pełne zagadkowego piękna obrazy poszukiwaczki swoistej estetyki, Beaty Palikot, to uczta duchowa dla subtelного wrażliwca. Elżbieta Czausz - Matel, podobnie jak Gogain i inni twórcy, zadaje odwieczne pytanie „kim jesteśmy, skąd przychodzimy, dokąd idziemy”. Równie wymowne są obrazy Joli Gałązki i Edyty Carmen. O zmaganiach ptci mówi obraz Janusza Kuleszy, a Jurek Łukaszuk, który znalazł wreszcie swoje miejsce, i w grupie czuje się świetnie malując tak jak czuje. Brawo Jurek. Też jestem narcyzem i kocham siebie nad życie dlatego przypadł mi bardzo do gustu obraz pięknie malowany przez Stanisława Wesołowskiego. To niezwykle ważne, poznać siebie i czuć się ze sobą dobrze. Marek Czyżewski zawsze kojarzy mi się z „kapitanem Nemo” czy jakoś tak, ze względu na beret, artystycznie noszony. To człowiek niezwykle subtelny i wrażliwy całym sobą. Namalował i pokazał na wystawie dwa wspaniałe obrazy w konwencji „płynizmu”, a cień jadącego rowerem jest niesamowity. Sama Baśka Piekarska jest dla mnie kimś, kogo obrazy bardzo lubię. Miałem okazję widzieć jej „marokańskie” obrazy, pełne niesamowitego światła i tamtejszej egzotyki rodzajowej. Przy okazji miałem możliwość poznać jej i Reduana syna i jego piękną żonę. Zagadką powstawania i niesamowitej cierpliwości są dla mnie obrazy Hanki Siemionow, zawsze stoję przy nich wyrażając niemy podziw i chłonąc oszczędną ale głęboką fabułę! I na koniec Krystyna Kunicka zadaje pytanie w kwestii skomplikowanego naszego istnienia, dylematów, niesamowitych połączeń neurologicznych, i być może samotności nas, ludzi w kosmosie. A Adam Ślefarski jest sam w sobie mistrzem!

Było wielu znajomych, niektórych dawno niewidzianych, których spotkanie było czystą przyjemnością. Na tyle dużą, aby stwierdzić, że świat jest piękny i ludzie są piękni! Takie wrażenie odniosłem oglądając dzisiejszą wystawę, gdzie na obrazach wszyscy artyści potrafili przekazać swoje emocje, niosąc w świat widzów przekaz, że oto „WIĘŻ”, którą stanowią w grupie, sprawia im autentyczną radość, a wzajemne kontakty są inspiracją dla dalszej twórczości. Tę więź zawdzięczają przede wszystkim sobie! A obrazy naprawdę są warte obejrzenia, aby sobie poprawić nastrój w tę ponurą, zionącą chłodem i wilgocią, pogodę! Brawo Ludzie!





DLA MNIE SIĘ PODOBA

Małgorzata Józefowicz
Galeria im. Sleńdzińskich 11.02 - 08.03.2020

Będzie krótko i na temat. Istnieją wystawy, które fascynują na tyle, że bezinteresownie wraca się na nie kilkakrotnie w czasie ich trwania. Bywają też takie, na które trzeba wrócić, aby cokolwiek zobaczyć i nie wynika to z frekwencji odwiedzających, ale organizacyjnych niedopatrzeń instytucji. Tak było z wystawą „Dla mnie się podoba” Małgorzaty Józefowicz w siedzibie Galerii im. Sleńdzińskich przy ulicy Legionowej, z którą mój pierwszy kontakt można uznać za mały falstart.

Na wernisażu, który (czemu nie ma co się dziwić) przyciągnął tłum, nie byłem, gdyż uważam, że imprezy te nie służą rzetelnemu wejściu w przekaz autora. Udałem się tam dzień później, w sobotę ale wystawa ku mojemu zaskoczeniu była nieczynna. Postanowiłem ponownie – a właściwie po raz pierwszy – obejrzeć wystawę w tygodniu. Zostawiam więc wszystkie niejasności związane z godzinami otwarcia i skupiam na tym, co istotne – sztuce Małgorzaty Józefowicz.

Zilustrowany przez artystkę Białystok wprowadza widza w przestrzeń rodem z baśni. Wykreowany przez nią świat prezentuje się, jak bardzo osobliwy, wizualny przewodnik po mieście i regionie utrzymany w konwencji magicznego realizmu. Większość z zaprezentowanych prac utrzymana jest w bardzo jaskrawej (krzykliwej) kolorystyce a la mural Zenka Martyniuka. W szczególności rzuca się w oczy tryptyk z antropomorficznymi wizerunkami „miesz-

kańców” Podlasia, jakimi są łoś czy ostawiony żubr. Zarówno one, jak i inne prace mają w sobie coś... białostockiego: pełne kontrastów, ironiczne; na pograniczu prymitywnego graffiti i campu. Urzekające pocztówki z miasta B. – jak śpiewa Cira. Nie są to jednak tylko cliche wizerunki miasta. Wydają się zadawać pytanie o wielowarstwowość podlaskiej tożsamości, gdyż w pracach Józefowicz przenikają się różnorodne światy tego, co tworzy szeroko rozumianą kulturę Podlasia. I tak, wizerunki babuszek z Kaniuk czy Narwii korespondują tu z pomnikami handlu w postaci bazaru na Kawałeryjskiej, a wnętrza chałup z domownikami zasłaniającymi się ikonami zderza z ludowością objawiającą się w rytmach disco polo. Choć więc pierwszy kontakt z wystawą był istnym bareizmem, druga próba mogła przynieść tylko jeden, iście podlaski wniosek – dla mnie się podoba.

Sebastian
Kochaniec





p r i m a v e r n a

galeria marchand – maj, czerwiec 2020